

Wielki



ELIZA ORZESZKOWA

Wielki

I

Syt róż i laurów, zniknąłem z widowni świata i przybyłem do rodzinnego miasteczka, aby spocząć i może na zawsze zadrzemać. Ciekaw byłbym niesłuchanie: jaki proces wewnętrzny skłonił był niedawno jednego z największych w świecie twórców muzycznych do ucieczki z pola chwały na bezludną wyspę Oceanu? Byłaż to niemoc ciała, czy choroba ducha, którego dotknął pod purpurą triumfu, kurcz małości własnej i ogarnął wśród powodzi światel pomrok zwątpienia? Co on myślał, co czuł, które z najrozpaczliwszych strof Eklezjasty napelniały mu głowę, gdy ze stolicy, rzucającej mu do stóp wawrzyny i serca, uciekał pokryjomu jak skazaniec i płynął ku łądom nieznanym? Czy on także należy do rodziny tych wiecznych szperaczy, którzy dotąd rozkopują każdą grudkę ziemi, aż znajdą w niej robaka i dotąd każdą kroplę krwi rozpatrują, aż skrzepnie w brzydkie, galaretowate ciałko? Musi też być synem tego rodu malkontentów, którzy wiecznie szturmują do Olimpu, aby wydrzeć mu ogień Jowiszowy, a gdy Jowisz drągiem sosnowym da im po głowie, chronią się w czeluści skalne, lecz niebawem znowu na świat wyłażą, znowu szturmują i już, już dotykając upragnionego łupu, spostrzegają, że niewart on był tego bólu głowy, którego ich nabawił drąg Jowiszowy. A może nic z tego wszystkiego nie istniało i wielki twórca dokonał fugi w podzwrotnikowe sfery dla przyczyny daleko pospolitszej, którą był katar płuc lub żołądka, wywołujący z mętów morza, blasków tęczowych żółty skielet śmierci? Bo jedną z zagadek nakreślonych długim szeregiem przed oczami najrozumniejszej z istot jest to, że objawy najpoetyczniejsze mogą posiadać na dnie prozę zupełnie gminną, a najgminniejsze wyciekać ze źródła bardzo poetycznego; więc najrozmaitsza z istot, nie dostrzegając dna i źródła, zaciekawia się i zachwyca często tem, co niewarte jednego spojrzenia, a pomija to, czemu by przypatrywać się należało z ciekawością i zachwytem. Z drugiej strony, ten skielet śmierci, dotykający nas ostrzem piszczy, wtedy częstokroć, gdy najrozkoszniej zatapiamy się w puchach życia, to także dobry kęs do przełknięcia w bigosie, którym karmi nas życie. On to przed kilku laty stanął mi w gardle i po raz pierwszy zatamował oddech tak swobodny i szeroki, żem mniemał się ptakiem, szybującym po rajskich przestworzach. Jako ptak śpiewający nadzwyczaj pięknie, byłem podziwiany, uwielbiany, w ciepłych dłoniach noszony, żywiony słodyczami najdoskonalszemi. Śpiewałem nie gardłem, ale skrzypcami. Skrzypce były mi kąpielą z wina i płomieni, ich struny nićmi, na których podnosiłem się nad ziemię tak wysoko, żem na niej nic drobnego, ani wykrzywionego dostrzedz nie mógł. One mi też były mennicą królewską, butami stumilowemi, rogiem obfitości, sypiącym kwiaty, laury i erotyki wartości wszelkich.

Bardzo rychło posiadłem sławę wielką i dość długo poczytywałem ją za niewątpliwie zasłużoną, bo kochałem sztukę szczerze i namiętnie, nad udoskonaleniem się w niej pracowałem zapamiętale, w napelniających i często aż żrących mię pożarach zapału i zachwyty dostrzegałem dowód niezbity, że jestem jednym z najuroczyściej wyświęconych jej kapłanów. W głowie mojej wrzało nieustannie morze myśli, które prawie bez udziału mego tłumaczyły się na tony; one też jednoczyły się z uczuciami do takiego upodobnienia, że sam nie potrafiłbym powiedzieć, czy mi serce w piersi biło, albo grało. Wszystko mi grało na ziemi, niebie, w ludziach, w sercu własnem. Motywy muzyczne, jak motyle wiosenne, oblatywały mię rojami i, jak orszak za królem, szły za mną wszędzie, kędym się obrócił. Przebierałem pomiędzy nimi, kaprysiłem, odrzucałem takie, które innym

sprawiłyby radość i pychę, przesiewałem je przez palce jak bajeczny bogacz djamenty Szamu, wybierałem najpiękniejsze i rozpoczynałem około nich pracę — jubilerską. Jakie nektary praca taka sączy w młodości, ten tylko wie, kto sam się poił niemi. Powtarzam: w młodości, bo później...

Pełną piersią piłem niebieskie nektary wtedy, gdy w białych świtaniach poranków i przed złotymi gwiazdami nocy ze skrzypcami i smyczkiem w rękach oglądałem swoje djamenty, szlifowałem je, rzeźbiłem, ujmowałem w oprawy misterne i rzadkie. Motyw przewodni bywał mi wtedy kłębkim czarodziejskim, z którego wywijają się związki i szeregi tonów, a jam je porządkowałem, rozciągałem, ścieśniałem, łączyłem je, wiązałem, aż wytwarzałem się z atomów organizm, z chaosu — świat, ten świat osobny, od wszystkiego, co otacza, wyodrębniony, sam w sobie zupełny — którym jest dzieło sztuki. Była to rozkosz, ale był to także trud, tylko żem ja pierwszej od drugiego nie rozróżniałem, tak nawzajem z siebie wyciekały i tak jedno bez drugiego powstać we mnie nie mogło, aż dwa te wyrazy zlały się dla mnie w jednoznacznik taki, że mówiąc: szczęście, myślałem: praca i mówiąc: praca, czułem, że do piersi mej puka szczęście. Porywałem skrzypce w dreszczach przebiegających ramiona i plecy, opuszczałem je w ognjach piekących policzki i dłonie. Grywałem utwory cudze i swoje, ćwiczyłem się i komponowałem aż do takiego zmęczenia rąk i głowy, że w pierwszych uczuwałem przeszywające bóle, a z drugiej uciekała mi myśl przytomna. Upadałem podówczas na sprzęt najbliższy jak pijany, albo powracający z podróży, nad siły utrudzającej; w piersi zaś miałem fizyczne uczucie czegoś z niej wyjętego, jakiejś przędzy, wydobytej z płuc, z serca, z nerwów, czy ja wiem? z tego może, co w języku ludzkim nazywa się duszą. Był to jakoby ślad, ciągnący się w moim wnętrzu uczuciem słabości i ubytku. Czułem fizycznie, wyraźnie, że z siebie samego, ze swojej materji i ze swego ducha wyprąrdłem coś odemnie wyodrębnionego, że mnie przez to ubyło i że ten ubytek sprawia mi w piersiach próżnię i zmęczenie. Ale zazwyczaj trwało to niedługo i kiedy trwało, nie przestawałem być szczęśliwym. Szczęśliwym i dumnym, bo do rozkoszy, którą sprawiała powstawanie i rozwijanie się pod dłonią moją piękną, doświadczałem tej, którą budzi uczucie, że ja to właśnie dzierzę moc wywoływania na świat jego objawów i układania z nich kombinacji. Pierwsze przybywały niewiedzieć skąd, jak nasiona roślin do gleby, przez wiatry nieznanne do mózgu mego przynoszone; ale drugie były już dziełem tego mózgu, który je szeregował, wiązał, potęgował, wysubtelniał, wszystkie do jednego i każdy do wszystkich dostrajał, słowem, świadomie, wytrwale, ciężko pracował.

To połączenie zdolności do natchnienia i zdolności do pracy dawało uczucie potęgi przetwarzającej się w uczucie dumy. Ten tylko wie, czym jest taka duma, kto w górnych strefach działalności ludzkiej przebywał i tworzył. Nie jest to pycha rodowa, albo pieniężna. Że przed setkami lat ktoś zdobył taką glorię, że jego płomyki połyskują dotąd nad czołami dalekich potomków; że Midas wygrzebał sobie z Paktoklu takie mnóstwo złota, że ono stało się jedyne jego, lecz tylko jego samego pożywieniem — to fraszki, które imponują tylko głupcom. Twórca czuje i wie, że sam przez swoją naturę wyjątkową i przez swoją pracę, odbywającą się w dreszczach i ognjach, krzesze nad czołem swoim światła glori; czuje i wie, że żywi się a nadewszystko żywi innych nie kruszcem z ziemi wygrzebanym, nie chlebem nawet z ziemi dobytym, lecz samemu niebu i wnętrznościom własnym wydzieranym pierwiastkiem piękną. Ta duma nie zawiera w sobie podłego składnika tamtych — wzgardy dla innych. Ona nie pomiata nikim, bo źródło jej wypływa ze wszystkich i na wszystkich spływać musi. Ze zbiornika uczuć i myśli, którym jest ród ludzki, powstają pieśni moje i powrotne w niego wsiąknięcie, pod postacią taką, jaką ja im dałem, jest ich przyczyną bytu ostateczną. Gdyby nie było ludzi, którzy kochają, szaleją, płaczą, pragną, ścigają, skrzypce moje nie wzdychałyby także, nie płakały, nie szalały, ani wzbijałyby się z pragnieniem ku wyżynom niedościgłym. Stąd łączność śpiewaka ze słuchaczami tak ścisła, że, jak iskra z tarcia się drzewa o drzewo, wytryskuje z niej miłość. Kochałem ludzi ze szczerością, z wylaniem, z naiwną ufnością artysty, który tak ciągle spogląda w górę, że na myśl mu nie przychodzi baczne przypatrywanie się nizinom. Wrodzony instynkt życzliwości dla ludzi rozwierał mi przed nimi usta do uśmiechów, ramiona do uścisków, sakiewkę do wysypywania na ich dłonie mamony, którą zdobywałem z radością, traciłem bez żalu. Serc, ani nawet głów ludzkich nie poddawałem rozbiorowi żadnemu, mój zmysł krytyczny omijał je tak lekko, tak, powiem, głupio, jak gdybym wcale go nie posiadał, a przecież gdy szło o przedmioty oderwane, zwłaszcza o sztukę, budził się przenikliwy,

surowy i czujny. Do krytykowania bliźnich nie miałem zresztą ochoty, ani czasu; ochoty, bo przywara tak widoczna, że ja nawet dostrzedz ją musiałem, sprawiała mi przykrość taką, jaką sprawia skaza na kryształach przejrzystym, albo nuta fałszywa w akordzie, którym ucho lubować się pragnie; oddalałem się więc od zeszeconego nią człowieka, jeżeli mogłem, a jeżeli oddalić się nie mogłem, usiłowałem być ślepcem dobrowolnym, czegom tem łatwiej dokonywałem, że bez ludzi i pomiędzy nimi pochłaniała mię praca dla sztuki lub mówienie, myślenie, marzenie o niej. Łatwo jest nie dostrzegać marnych pyłów ziemi temu, komu boska kochanka co dzień, co godzinę porywa duszę pod gwiazdy; łatwo też kochać, gdy serce, z przyrodzenia miękkie, topnieje ustawicznie w ogniach natchnienia i warzących się przy nich słodczych. Czy podobna zresztą nie kochać tych, którzy tworzą sławę i nam ją w podarunku składają? Sława! ach, tak, był to, obok rozkoszy twórczych, składnik szczęścia mego bardzo ważny... Czy najważniejszy? Nie zadawałem sobie podówczas tego pytania, lecz myśl o wrażeńiu, które dzieło moje i każdy jego szczegół wywrze na słuchaczy, ta to właśnie myśl, choć częstokroć nieświadoma i słowami niesformułowana, była mi krzesiwem dla zapału, chłostą dla lenistwa, trąbką akustyczną, z której pomocą ucho rozbierało świat tonów tak pracowicie i skrupulatnie, jak oko przyrodnika rozbiera świat materji zapomocą drobnowidza. Nie lękałem się przygan, owszem, zuchwale wyzywałem je nieraz śmiałością pomysłów nowych, zrywaniem wszelkich pożyczonych osłon z indywidualności własnej; lecz w imię tego, co uczuwałem w sztuce za prawdziwe i piękne, stawiając czoło naganie, żądny byłem chwalby, tej wielkiej chwalby, której składnikami są uderzenia mnóstwa serc przezemnie wzruszanych, podziw mnóstwa umysłów przezemnie wzniesionych nad poziom codzienny, oklask mnóstwa dłoni miotanych wichrem mego ducha... Miałem wszystko, co tylko w rzędzie uciech tego rodzaju istnieć może, od dziecinnej prawie zabawy do radości, która rozsadza mózg i serce. Ileż razy bawiłem się jak dziecko, gdy w wagonach, restauracjach, w różnych miejscach przelotnych zgromadzeń, na dźwięk imienia mego, wypadkiem rzuconego w tłum rozragniony, śpieszący się, znudzony, wszystko nagle postać swą zmieniało: rozmowy milkły, znudzenie pierzchało, pośpiech ustawał, zamyślenia rwały się, jak nici przecięte, a wszystkie te dusze: smutne, wesole, poważne, płochy rzucały się naraz ku swoim oknom i, szeroko je otwierając, patrzyły na mnie z tą bojaźnią nieokreśloną, którą na wszystkich szczeblach stworzenia uczuwa drobiazg, gdy napotyka wielkość, z tą także ciekawością, którą na tle szarego życia budzi jaskrawa smuga osobliwości wszelkiej. Nie myślałem o tem, że coś podobnego zaszłoby pośród zajęcy na widok nagle zjawiającego się słonia i pośród ludzi wobec człowieka, z okiem pośrodku czoła umieszczonem. Objawy wrażeń na widok mój doświadczanych bawiły mię niesłychanie, a roztkliwiała każde dostrzeżone pośród nich uczucie natury głębszej. Zdarzało się to często. Pamiętam, raz, w okoliczności podobnej spostrzegłem w tłumie twarzy jedną, należącą do kobiety młodej, szczupłej, ani ładnej, ani szpetnej, ubożuchno wyglądającej. Było to też zapewne stworzonko ubogie, zapracowujące się prawie na śmierć dla przechowania nędznego życia sobie lub innym, jedna z tych figurek niewyraźnych, których nikt nie zna i po poznaniu jeszcze za chwilę już nie pozna. Podniosło to na mnie z pośród twarzy bladej i chudej wzrok zdumiony, złękniiony, wnet go odwróciła, znowu skierowała ku mnie i znowu powiekami przysłoniła, nie śmiać patrzeć i żądy patrzenia oprzeć się nie mogąc, aż nakoniec oczy duże, błękitne, przejrzyste i pod zmęczoną powieką bardzo młode przyłgnęły do mnie jak żelazo do magnesu, zrazu wahająco się i nieśmiało, potem z zapomnieniem zupełnem o sobie i świecie, z czułością coraz rzewniejszą, same też coraz piękniejsze, głębsze, ognistsze, aż ręce w rękawiczkach u palców podziurawionych wzniosły się nieco i splotły u piersi nieświadomym ruchem uwielbienia. Miałem już zbliżyć się ku niej, wziąć te biedne, modlące się do mnie rączki, zajrzeć zbliższy przez te śliczne okna w tę śliczną zapewne duszyczkę, gdy dzwonek zabrzmiał, tłum nas roztrącił, ona kędyś u szarego końca pociągu przepadła, a ja w wagonie pierwszej klasy zapomniałem o niej rychło wśród towarzyszy, którzy przed kilku jeszcze minutami nie znający mię i nieznaną, śpiesznie teraz tworzyli mi switę usłużną, uradowaną tem, że, w jednej klatce podróżując, przypatrzeć się będzie mogła człowiekowi, posiadającemu o jedno oko, czy o jedno ucho więcej niż wszyscy. Zapomniałem o niej rychło, lecz nie na zawsze, skoro dziś ją wspominam, dziś, gdy wszystkie zażyte świetności i radości oddałbym za posiadanie tuż przy sobie jednej takiej duszyczki w sukience ubożuchnej i rękawiczkach dziurawych, lecz mojej i zdolnej kochać... Kochać! Boże! Jaż to

na brak miłości kobiecej wyrzekać miałbym prawo!... Tak, mam prawo wyrzekać na brak miłości takiej, jakiej wymagały potrzeby istoty mojej najgłębsze i dla mnie samego długo tajemne, jaka mogłaby uszczęśliwić zupełnie i trwale. Takiej nie miałem nigdy. Były rzeczy w tym rodzaju bardzo liczne, uprzyjemniały mi życie nadzwyczajnie, ale przemijały, przelatywały, przemykały, aż przestały być przyjemnymi. Bo jest to tak, że dla samych siebie stanowimy długo, albo i zawsze zagadkę, nad której odgadnięciem zbytecznie sobie głowy nie łamiemy. Próbujemy przysmaków tych, tamtych, owych, wydają się nam wybornymi, wyciągamy chciwie ręce po inne i po inne, otrzymujemy je, delektujemy się znowu, aż na koniec, kiedy już więcej niż połowa naszej rzeki upłynie ku morzu nieznanemu, kiedy już wkrótce ma w niem przepaść i zniknąć, spostrzegamy, żeśmy głodni, że nie mieliśmy tego właśnie pożywienia, które jedynie nasycić nas mogło.

Ale wracam do sławy. Ona uczyniła mię mocarzem nie tylko mnóstwa duchów, ale i ciał ludzkich. Z wyniesienia, na którym stałem, widywałem morza twarzy, z których u końca gry mojej ani jedna nie pozostawała taką, jaką była u jej początku. Tony moich skrzypiec rządziły grą ich mięśni i obiegiem krwi w ich żyłach, zaciągały je chmurami i rozjaśniały uśmiechami, kurczyły do płaczu, zniechęcały w zadumach, wypalały na nich rumieńce i czyniły je bladymi. Widywałem młodzieńców, przedtem wątplych i pochyłych, przybierających pod zaklęciem moim postacie harde i wyzywające, mężów dojrzałych, którym sznurki łez ciekły z pod palców zasłaniających oczy, kobiety bliskie omdlenia, lub z wysileniem woli, od którego stawały się podobnymi do mężczyzn, powstrzymujące w piersi krzyki spazmatycznych śmiechów i płaczów. Były nawet takie, które mdlały i takie, którym brakowało sił do utrzymania na wodzy wywoływanego przez ziemie szatana hysterji. Kiedy raz taką zemdloną wynoszono z sali, biała jej suknia prawie u stóp moich zamiatała ziemię, a czarne włosy wymknęły się z więzów i w dół spłynęły strugą siejącą perły. Ale ja grać nie przestał, nikt nie schylił się dla podnoszenia pereł, bo nikt poruszeniem najłżejszym nie chciał i nie śmiał zerwać czaru, od którego serca bić przestawały a nad salą upalać, od światła gorejącego, przez którą, wśród psiego tłoku, z trudem niesiono postać białą i sztywną, gra moja upojona, roztkliwiona, rozmarzona, ani na mgnienie oka unosić się nie przestawała, aż gdy umilkła, tłum, jak jeden człowiek, wznosił ręce i zabrzmiął oklaskiem wściekłym, nieskończonym, zmieszonym, nie z krzykiem już, ale z rykiem piersi, które musiały w jednym, lecz ciągle powtarzanym wyrazie wyrzucić z siebie część namiętnej burzy. Innym razem, jakiś głos męski, szorstki, gniewny, krzyknął mi z głębi sali: „przestań, bo serce pęknie!”, a nazajutrz w przysłanym mi bukietcie znalazłem kartkę z tem westchnieniem, kobiecą ręką wypisanem: „O, gdybym mogła słuchając cię — umrzeć!”, Tych, ani mnóstwa innych tak ostro i głęboko przez tony moje przeszytych, nie poznałem nigdy, w pośpiechu, który gnał mię po świecie, nie dowiadywałem się nawet o ich nazwiskach, jak bogacz, posiadający skarby nieprzebrane, gubiłem djamenty ludzkich uwielbień, nie oglądając się za nimi, pewien, że ich nigdy drodze mojej nie zabraknie. I nigdy nie zabrakło. Dlaczegoż tu jestem? Bo ich już nie chcę, oto wszystko. Długo przecież dawały mi one szczęście, zawierające wiele składników różnorodnych. Czy należało do nich pospolite zadowolenie miłości własnej? Radość z triumfu sztuki ukochanej, radość z coraz nowych dowodów mojego w niej mistrzostwa, radość tkliwa, głęboka ze związku łączącego duszę moją z duszami ludzi. Czciłem i kochałem muzykę, a danem mi było wynosić na tron moją panią i kochankę; nie mogłem wątpić, że przed jej ołtarzem palę kadzidła najwonnejsze, skoro świat upajał się niemi aż do szalu; nie miałem prawie rodziny, lecz gdy tylko smyczkiem powiodłem po strunach, mnóstwo serc biło dla mnie prędkiej i goręcej, niż to się zdarza zazwyczaj sercom braterskim. Myśl o mnóstwie istot, które gry mojej nie słyszały nigdy, lecz którym granie utworów moich czyniło życie lżejszym i piękniejszym, które więc musiały także, choć zdala, uwielbiać mię i kochać, wzmagająca to uczucie ścisłego związku mego z powszechną duszą ludzkości do stopnia prawie mistycznych marzeń i omamień. Wzniecać dla siebie w mnóstwie serc miłość i wdzięczność, gościć w mnóstwie umysłów, być dla nieznanych nie tylko znanym, lecz ukochanym, jeżeli nie rządzić istnieniami, to przynajmniej wpływać na nie w mierze znacznej, zbierać wszystkie tkliwości, bóle, pragnienia, tęsknoty świata i wypowiadać je we frazesach tak wyraźnych i przenikliwych, że cały świat, poznając w nich siebie, drży ze szczęścia i grozy, że odgadnięty został — to coś nakształt wszechobecności i wszechpotęgi bóstwa...

Oprócz tych rzeczy kapitalnych, mnóstwo pomniejszych: gwarne ucztę, toasty huczne, mowy i pisma w językach wszystkich cześć moją głoszące, deszcze kwiatów, liścików wonniejszych nad kwiaty, przysmaki stref wszelkich, pocałunki ust niezliczonych, pyłki przelotne coraz nowe i inne, od których życie iskrzyło się jak pod światłem przesuwany pas brylantowy. Było jeszcze ono podobne do tych win greckich, które biesiadnikom wyciągniętym na posłaniach z purpury w kraterach, z których uśmiechały się twarze bogiń, wśród dźwięków lutni, skoków tancerek, podawali paziowie o woniejących włosach... Nie Bachanalją pijaną i bezmyślną, lecz biesiadą wykwintną, gwarną, wesołą i piękną...

II

Nagle pokój ze spuszczonego storami, z żółtym w zmroku płomykiem kuchenki naftowej, nad którą jakaś kobieta nieznaną w fartuchu i czepku białym przyrządza jakąś mieszaninę z ohydą barwą i wonią. Leżę na pościeli, oczyma, które przymykają się co moment, spoglądam na aksamitne obicie ścian, po którego tle amarantowem wiją się jaśniejsze nieco arabeski i myślę, że to obicie kiedyś już widziałem, tylko że było na niem więcej złocień... ach, są i teraz, tu i tam połyskują, tylko dostrzegam je z trudnością i wzrok mi nużą tak, że powieki zamknąć muszę. Nic nie rozumiem. Gdzie jestem? dlaczego leżę? czy to noc jeszcze, albo wczesny poranek? Ale kto to ta kobieta i co ona robi? jakąś obrzydliwość przyrządza? Ach, żeby się wyniosła coprędzej, razem z tem czemś rogatem i płonącym, co wydaje z siebie taki nieprzyjemny zapach!... Pani! moja pani! kto pani jest? czego pani tu... Nie mogę... mówić! Chcę mówić, a tylko ustami poruszam... Nic nie rozumiem! Aha! prawda! to po tym koncercie... byłem tak rozgrzany i przez drzwi otwarte straszny chłód... ale to przejdzie... żeby tylko kto był łaskaw... skrzypce... Cóż, kiedy prawej ręki niema... gdzie moja prawa ręka? Nie mam ręki? Pani! ręka! proszę mi oddać rękę! Aha! nakoniec mogę nie tylko mówić, ale krzyczeć! Przelęknęła się, biegnie do mnie... Kto? Henryka? Nie. Dlaczego? ona powinna być tu... nie ta nieznajoma! Dlaczego Henryka nie przyszła? Gdzie moja prawa ręka? Pójdę jej szukać, puście...

Mętny widok dwóch stojących przy łóżku drabów, niejasne uczucie toczony z niemi walki, śmiertelny przestach o zgubioną rękę, której stale nie czuję, wściekła żądza odzukiwania jej, której zadowolnić nie pozwalają trzymające mię draby i — koniec wszystkiego, czarna noc bezmyślności, wśród której tylko dręczy mię nieustannie cikliwy zapach i strach, okropny strach o zgubioną rękę...

Takie błyskanie i gaśnięcie przytomności powtarzało się wiele razy. Płomyk świecy zapadał na dno świecznika, wybuchał znowu, chwiał się w zdumieniu nad mglisto oświetloną rzeczywistością, aby znowu pograć się w czarnej czeluści... Przyszedł nareszcie dzień, w którym powiedziano mi, że o mało nie umarłem, ale że teraz napewno żyć będę. Podobno bakcylus tyfusowy niewiedzieć skąd zawędrował do organizmu mego, w dodatku przez drzwi wypadkiem otwarte, mroźny wiatr owiał mię po wyjściu z upalnej sali — i o mało nie umarłem...

O mało nie umarłem! Więc mogę umrzeć! To, czego uniknąłem wczoraj, może spotkać mię jutro, za rok, za lat kilka! Ależ naturalnie, nawet musi. Wiedziałem o tem przecież, każdy wie o tem, że jest istotą podlegającą śmierci, ale jak wie? mętnie, dorywczo, można powiedzieć, bezmyślnie, gdyż nigdy na tem wyobrażeniu nie zatrzymuje myśli. Życie porywa myśl, jak potok gałązkę niesie tak chyżo, rwie tak gwałtownie, zakręca w tyle kółek i zygzaków, że nie spuszcza się ona nigdy na dno otchłani, w której ma zginąć. Ktoś powiedział, że każdy wie o konieczności umierania wogóle, ale nikt nie wierzy w to, że sam umrze. To nieprawda. Wierzyć, każdy wierzy, ale myśleć o tem nie pozwala nikomu wartki potok życia. Mój potok był jednym z najbystrzejszych i najszumniejszych w świecie; nic też dziwnego, że gałązka ślizgała się, kręciła, skakała po roziskrzonych falach, nie mając ochoty ani czasu do spoglądania na dno otchłani. Kilka razy widziałem był umierających i umarłych, ale ten widok nie wzbudzał we mnie nic, oprócz pospolitych uczuć smutku i pożałowania. Do siebie samego nie stosowałem nigdy tej okropności. Ten i ów umarł, szkoda biedaka, jeżeli był mi bliskim, mam serce ciężkie i nawet łzy w oczach, ale muszę przygotować się do wystąpienia jutrzejszego, przerobić szczególnie pewien w utworze swoim, wyrozumieć do dna utwór cudzy, złożyć wizytę, pójść na ucztę, odpisać przyjacielowi, widzieć się z kochanką... Potok rwie i nie daje czasu do

zastanawiania się nad rzeczą dobrze wiadomą, ale dla mnie osobiście tak jeszcze odległą, niepewną, omgloną, że prawie niemożliwą. Wiem o tem, że jest więcej niż możliwą, bo konieczną, ale ta świadomość martwo spoczywa na dnie mego umysłu, po którym szumnie i tłumnie wirują odbicia zjawisk świata, a jeżeli kiedykolwiek obudzi się i o nieuniknionej przyszłości zaszepece, znowu ją w sen pograżam lekceważącym machnięciem ręką i zuchwałą myślą: „co tam! gdy przyjdzie, to przyjdzie i kiedy to tam jeszcze będzie!”

Nagle, wir ustał, szum ucichł, zjawiska świata, ukryte za ścianami zamkniętego pokoju, przestały odbijać się w moim umyśle. Widok ludzi i rozmawianie z nimi są mi wzbronione, leżę w ciszy ustawicznej, prawie nieruchomy od osłabienia, z wyjątkiem mózgu, który zaczyna poruszać się i pracować. Przecież życie dotychczasowe upłynęło mi w sferze wysokich zajęć umysłowych: uczyłem się, zapamiętywałem, kombinowałem, tworzyłem; towarzystwo, którego byłem członkiem i ulubieńcem, składało się z ludzi także uczących się, kombinujących, myślących i, ażeby rozmawiać z niem, przestawać, trzeba było mniej lub więcej wiedzieć, umieć, myśleć. Więc codzienną strawą mego mózgu i jednocześnie codziennym jego produktem było myślenie. Przywykł do tego i, gdy tylko zdołał, zadawałniam zaczął to przyzwyczajanie.

Przedewszystkiem ten bakcyclus i to dmuchnięcie wiatru! Ileż razy słyszałem, że posiadam wielką duszę artysty i jak mocno sam w to wierzyłem! Wielka dusza! Wielki mistrz! Wielkość! Przedmiot miłości i uwielbienia świata! A istotka, wiadomo jak nieskończenie drobna, o mało mię nie zabiła. Dmuchięcie wiatru o mało nie zrzuciło mię ze świata! Któż mi teraz powie: kto jest większy: ja, czy bakcyclus? i co jest silniejsze: podmuch wiatru, czy miłość świata? Ten powiew wiatru dotarł mię przez drzwi otwarte przypadkiem, oto więc czynnik trzeci: przypadek! Nieskończenie mały bakcyclus, płochy wiatr, bezmyślny przypadek, oto trójprzymierze, które o mało nie pograżyło w nicość mojej — wielkości. A jeżeli tym razem nie uczyniło tego jeszcze, uczynić może lada dzień i lada rok, albo też wyręczy je w tem jaka inna, równie dostojna spółka. Śliczna wielkość! Lada jakie żyjątko pochodzenia niepewnego, bo niewiadomo nawet dobrze, czy jest rośliną lub zwierzęciem, lada jaki lokaj głupi czy roztargniony, który swojej wielkiej ręki w białej rękawiczce dobrze na klamce nie oprze i — już po niej! A zdarzyć się to może — niewiadomo kiedy, właściwie zawsze, wtedy gdy w pocie czoła walczę z trudnościami swojej sztuki i gdy z szaloną radością je zwyciężam, kiedy smyczek mój jak palce rzeźbiarza glinie nadaje kształty różne ciałom i duchom ludzkim, kiedy usta moje płoną i drżą na ślicznych ustach narzeczonej... bo miałem wtedy właśnie narzeczoną, lecz schorowany mózg mój, rwąc się do myślenia, o niej myśleć nie chciał i czynił nawet wysilenia, aby w najdalsze głębie usuwać przypomnienie, które posyłało do serca ukłócie bólu... Usiłowałem nie myśleć o narzeczonej i nie zdawać sobie sprawy, dlaczego każde przypomnienie o niej sprawiało mi ból w sercu. O śmierci zaś myślałem bez bólu, tylko ze zdziwieniem zrazu, potem z niesmakiem, a potem z ciekawością nadzwyczajną i smutkiem tak głębokim, że prawie dotykalnie czułem wsuwającą się do wnętrza ciemną chmurę. Do tego stopnia przywykłem poczytywać siebie za istotę, że tak powiem wierzchołkową, to jest u samego szczytu stworzenia umieszczoną, że pogodzić się nie mogłem z pojęciem, aby żyjątko niesłychanie liche, u samego spodu świata niewidzialnie istniejące, dzierżyło nademną prawo życia i śmierci. Zdumiewało mię to i ogromnie upokarzało. Raz na myśl o tem, jak byłem dumny ze swych natchnień i umiejętności, ze swego tytułu twórcy, z całego siebie, zaśmiałem się tak głośno i przeciągle, że poczciwa kobiecina w białym fartuchu mniemała, iż znowu tracę przytomność i co prędzej posłała po lekarza. Przyszedł, znalazł wszystko w porządku i zapytał, co mię przed godziną tak bardzo rozśmieszyło.

— Mój konsyljarzu, rzekłem, byłem świadkiem widowiska szczególniejszego: sam w oczach własnych zmniejszałem się, zmniejszałem, aż stałem się mniejszym od bakcyclusa.

— A myśmy przyglądali się panu przez mikroskop? co? — zapytał, z powstrzymanym, lecz wyrwywającym się na usta uśmiechem.

— I w ten sposób przyglądając się, jeszcze wątpię, abyście dokładnie rozpatrzyć mogli to, co działo się i stawało we mnie.

— To jest: z panem?

— Nie; we mnie...

— Majaczenie wzroku i umysłu skutkiem wielkiego osłabienia. Zachowuj się pan spokojnie, jedz swój beefsteak, pij portwejn, a wkrótce będziesz nam znowu wielkim...

— Wam może, ale już nie sobie.

W pierwszej chwili samotności zapytałem siebie: czemu będę po... tem? Po czym? No, po tem, gdy mię grzybek jaki zje, albo zefirek z ziemi zrzuci? Wiedziałem trochę w co po takiej katastrofie zamienia się ta część człowieka, która nazywa się ciałem i przez czas jakiś czułem do swego taką ohydę, jakbym już widział je zamienione w ciecz zgniłą i cuchnącą. I naprawdę widziałem, z taką siłą wyobraźnia moja pracowała nad wytworzeniem obrazu tej metamorfozy przeraźliwej, a — nieuniknionej. Teraz, pojęcie o nieuniknionem zastąpiło we mnie uczucie dalekości tak nieokreślonej, zamglonej i niepewnej, że łączącej się prawie z niemożliwością. Widmo, którego przedtem pierwszych rysów nawet nie rozpoznawałem, wyskoczyło z najdalszej głębi perspektywy i, chwytając mię za gardło, krzyknęło: jestem! muszę być! Przypatrz się jakim jestem! I ze zgrozą, jeżącą włosy na głowie, z niesmakiem, budzącym niekiedy nienawiść dla samego siebie, przypatrywać się musiałem, lecz po upływie pewnego czasu, jak tonący gałęzi, uchwyciłem się myśli następującej. Dobrze, to wszystko stanie się z ciałem. A duch? Ileż razy słyszałem powtarzane i sam powtarzałem słowa: natchniony, ognisty, głęboki, twórczy, wielki duch! Co to takiego? Myśli, uczucia, natchnienia, wzruszenia moje. Nadewszystko pieśni moje, ach, te pieśni, które mózg mi przerzynały, jak błyskawice niebo, lały się z pod mej ręki rosą tonów, porywały mnie i przezemnie tylu innych z nad ziemi w strefy idealne, — wszakże to nie składało się z białka, ani tłuszczu, nie oddychało tlenem i azotem, nie było wiadomego pochodzenia. Więc gdy pochodzenie wiadome nie jest, o końcu także nic pewnego powiedzieć niepodobna. Gdy nikt nie widział składników zjawiska, nikt rozsądnie twierdzić nie powinien, że ulegnie ono rozkładowi. Sam nie wiem, jak pod wpływem zapewne mnóstwa czynników, znajdujących się w nauce, towarzystwie, sposobie życia, rozstałem się był oddawna z doktrynami religii objawionych, zatem i z tą, która upewnia o nieśmiertelności duszy ludzkiej. Nigdy zresztą nie myślałem był o tem ani poważnie, ani długo. Jak w dzieciństwie na wiarę i niejako mechanicznie przyjąłem był mniemanie twierdzące, tak potem przeczące, niewiadomo którędy, zapewne przez wiele otworów naraz, wniknęło do mego umysłu, ale przebywało w nim tak długo, że stało się integralną częścią jego całokształtu. Niepodobna mi było jej odmienić, nie odmieniając całości, co naturalnie, musiałoby być dziełem długiego czasu i wielu innych czynników, działających gromadnie i stopniowo. Więc nie myślałem, że posiadam duszę nieśmiertelną, ale śpiesznie, prawie rozpacznie chwytalem się myśli, że... jednak... może jest w człowieku coś... coś innego niż ciało, jakiś pierwiastek niewiadomy, niepoznany, nienazwany, który nie zginie... Zginać nie chciałem. Niech tam już ciało! Ale to, co we mnie myśli, czuje, śpiewa... ach, moje pieśni natchnione, ukochane, piękne... aby to zginać miało, temu sprzeciwiałem się z całej siły żalu i oburzenia. Doświadczałem takich uczuć, jakbym patrzył na rzecz nieswoją, całkowicie nawet odemnie odrębną, ale piękną, ukochaną, wpadającą w olbrzymią próżnię. Była to bezdenna, bezbarwna, cikliwa nicość. Powstawanie rzeczy rozumnych, subtelnych, szczytnych z tem przeznaczeniem, aby niknęły bez śladu w głupiem, brutalnem — nic, wydawało mi się niesprawiedliwością tak olbrzymią i niepojętą, że ani zrozumieć jej, ani uwierzyć w nią nie mogłem. Sama myśl o jej możliwości dokuczliwa i do odegnania niepodobna, fatalnie oddziaływała na mój stan fizyczny. Lekarz niepokoił się i zapytywał, czy wypadkiem nie dręcę się jakąś troską lub niezadowoloną chęcią? Odpowiedziałem, że istotnie dręcę mi żal, iż obok uprawiania sztuki nie oddawałem się badaniom naukowym.

— A toż po co?

— Wiedziałbym teraz, czy bakcyclus zjeść może razem ze mną i mój talent...

— Genjusz, poprawił lekarz.

— Genjusz, powtórzyłem; otóż wiedziałbym teraz, czy mój genjusz zamieni się prędzej lub później, na równi z innymi igredjencjami mojej osoby, w gazy i sole?

— Ależ, drogi panie, wcale nie wiedziałbyś o tem tak samo, jak teraz nie wiedziałbyś o tem ani jednej literki...

— Jakto? Gdybym był uczonym? bardzo uczonym? wielkim uczonym?

— Gdybyś był nawet większym uczonym niż jesteś artystą, gdybyś był tak uczonym, jak wszyscy uczeni świata, którzy byli, są i będą, nie wiedziałbyś o tem tak samo, jak teraz

nie wiesz. Nikt o takich rzeczach nic nie wie. Na to pytanie religie odpowiadają: tak! materialistyczne kierunki naukowe: nie! lecz jedne i drugie do twierdzenia, zarówno jak do przeczenia, dochodzą drogą wiary, nie wiedzy. Nauka rzetelna, spokojna, — przytem tak rozległa, że widnokregu swego nie zamyka w granicach żadnej parafji, posiada w tym wypadku jedną tylko odpowiedź: nie wiem!

— Po cóż ślęczycie nad nauką?

— Przez miłość dla prawdy i przez pragnienie służenia człowiekowi...

— Skoro jednak prawda może być dla was tylko ułamkową...

— Niemniej jest piękna i wielka...

— Skoro ostatecznym przeznaczeniem człowieka nawet największego musi być to, aby został zjednoczony przez bakcyłusa...

— Albo przez czas, który sprawia, że komórki ciała odnawiają się z coraz mniejszą łatwością i dokładnością...

— Albo, ażeby go dmuchnięcie wiatru zwało z ziemi...

— Co wszystko nie przeszkadza temu, że przez pewien przeciąg czasu żyje on i przekazuje życie pokoleniom następnym, że więc życie jest faktem, zarówno jak umieranie, a nawet stalszym i rozleglejszym, bo umiera jednostka, a ród trwa, że zatem to, co ułatwia, ulepsza, podnosi życie, jest narzędziem posiadającym wartość odpowiednią swojej mocy i skuteczności. Excelsior!

— Co powiedziałaś, doktorze?

— Excelsior! Podnosimy wartość swoich narzędzi!

Zaśmiałem się. Głupstwo! Będę kuł, ostrzył, szlifował swoje narzędzie, kiedy wiem, że w pierwszej lepszej chwili niewiedzieć co może wytrącić mi je z ręki? Wprawdzie, co przez nie sprawię, będzie sprawionem, ale mnie samemu jaka z tego korzyść? Mnie nic nie wyratuje od stania się niczem, albo przynajmniej od dośmiertnej niepewności, czy nie stanę się niczem. Przywykłem być istotą wrażliwą, ruchomą, myślącą i nie chcę być gazem, ani solą, z całej siły swojej nie chcę, wszystko, co jest we mnie, opiera się i oburza przeciw końcowi takiemu. Co on prawi? Trafił też we mnie jak kulą w płot swoim excelsior! Kiedym proch, to proch, i nic nie pomoże udawać gwiazdę. Śliczne excelsior! lepić skrzydła, aby stopiły się — w czym? w chorobie, albo w starości! Pfu! jakie to marne, głupie, bezcelowe! Jednak marnej, głupiej, bezcelowej roboty dokonywałem przez lat wiele z radością i dumą, przez nią byłem szczęśliwy! Bom nie myślał o jej i swoim końcu. Gdy tylko zacząłem myśleć... Wiem, że znajdą się tacy, którzy powiedzą: nie myśl i teraz, a znowu będziesz szczęśliwy! Ale to niepodobna. Zbyt wysoko cenilem dotąd palącą się w głowie mojej pochodnię, abym miał gasić ją teraz, gdy po tylu świetnych wyrzuciła z siebie blask ponury. Jej to przewidywane i przypuszczalne unicestwienie najwięcej mię oburza, a miałbym ją sam unicestwiać? Opanowywałem nieraz swoje namiętności, ale myśli opanować nie potrafię. Gdyby nawet nie honor i zasady, mam w sobie instynkt wzbraniający mi krzywdzenia innych i plamienia siebie, poprostu nie znoszę bólu u innych i plam na sobie, dlatego też najbardziej opanowywałem swoje namiętności. Lecz ani honor, ani zasady, ani żaden instynkt odziedziczony nie zabraniają mi myśleć, przeciwnie, cały bieg życia przodków moich, od kilku już pokoleń i mojego, wypracował we mnie konieczność myślenia. Rzecz była w tem, aby nie zaczynać, ale skoro bakcyłus sprawił, że zacząłem myśleć — muszę czynić to dalej i zanurzać się w tem myśleniu, jak w czarnej wodzie.

W stanie moim psychicznym znajdował się jeszcze szczegół pewien, który dolegał mi niejasno, lecz nieustannie. Doświadczałem niejasnego, ale nieustannego niepokoju o swoją prawą rękę. Już w czasie choroby miewałem mętne przebłyski pojęcia, że dzieje się z nią coś niedobrego i doświadczałem trwóg niedługich, lecz przesywających. Teraz trwoga przemieniła się w głuchy niepokój, którego uciszyć nie mogą zapewnienia doktora, że — to przejdzie. Nic więcej, jak bóle doświadczone w ramieniu i palcach ręki, a także niemożność wykonywania pewnej serji ruchów. Chcę wyciągnąć ramię ponad głowę i sięgam niem tylko poniżej czoła; dalej w górę posuwać się nie chce i ma taki pozór, jakby było skrócone. Poprostu, nie słucha mię, moje własne ramię nie słucha moich rozkazów, prawe ramię, to właśnie, które dla manewrowania smyczkiem potrzebuje giętkości woskowej, szybkości błyskawicznej, delikatności ptasiego pióra. Przy tem

i bóle najczęściej słabe, ale czasem tak ostre, że zaciskam zęby, aby nie krzyknąć i nocami sypiać nie mogę. Co się stało? A no, ten podmuch wiatru, ogarniający rękę do najwyższego stopnia rozgrzaną przez kilkogodzinne granie, rękę muzyka, która i bez tego skłonna jest do podlegania chorobom pewnego rzędu, przytem skutki przebytego tyfusu, podobno najczęściej do jednego większego wypadku „przyplątują się” inne pomniejsze. „Przyplątują się” było wyrażeniem doktora mego, który pomniejszy wypadek, po szczęśliwym przeminieciu wielkiego, traktował bardzo lekceważąco. Z tyfusu można umrzeć, a zapalenie nerwu w ramieniu, głupstwo! nikt jeszcze z tego nie umarł. To przejdzie! Ba! gdybym był pewny, że przejdzie! Ale nie byłem pewny. Ileż razy obijały mi się były o uszy opowiadania o mylności sądów i przepowiedni lekarskich! Obijały się były tylko i odskakiwały, do mózgu na pozór nie wnikając, bo przedmiot ten wcale mię podówczas nie obchodził. Ale teraz, jak na zakłęcie, pamięć powtarzała mi je wszystkie, co do jednego. Przekłeta pamięć, odbierająca wiarę, któraby mogła wyjąć ze mnie świder niepokoju! Zresztą i zdrowy rozsądek powiada, że człowiek, choćby najbiegły w zawodzie swoim, mylić się może. Wprawdzie, może on także wydawać sądy trafne. Może przejdzie! Pewno przejdzie! Wszak jestem jeszcze i przez czas jakiś będę zbyt słaby, aby do skrzypiec powrócić, a dopóki siły zupełnie odzyskam — to przejdzie! A jeżeli nie przejdzie? Może nie przejść! Może nawet być czemś innym, trwalszem, inaczej się nazywajacem niż mniema lekarz! Jeżeli więc nie przejdzie? Boże! Boże! Boże! To gorsze od śmierci! Nie chcę! Wolę umrzeć całkowicie, niż gdyby ramię moje umarło, przy mnie żyjącym! Wolę śmierć doraźną, choćby przez nią zatonać miał w nicości klejnot mój — dusza moja pieśni pełna, bo przynajmniej na jej unicestwienie się patrzeć nie będę codzienn, przez całe dni i dni szeregi, oczyma żywego trupa... Ale szalony jestem i trwoga moja jest dziecinna. To pewnie przejdzie! Oto już przechodzi! Cały dzień przeminął bez bólu i już, zdaje się, gdybym tylko zrobił wysilenie, mógłbym ramię!... ot, tak... Nie, nie mogę! Próbuję i usiłuję co godzina, czasem kwadrans, natychmiast po obudzeniu się ze snu, w długich przerwach nocnego spania... i nie mogę! Nie! to nie przejdzie! On śmieje się z mojej niecierpliwości. To nigdy nie przechodzi tak prędko! Trzeba podległ kuracji, której teraz, dla braku sił, znieść jeszcze nie mogę, ale której skutki są zawsze niezawodnymi. Niezawodnymi! Mówi o tem z pewnością zupełną, a jest człowiekiem uczonym i doświadczonym. Dziecinny jestem ze swoją trwogą. To przejdzie! Ach, niepodobnaby mi było przedtem przypuścić ani przeczuć, aby człowiek mógł stać się takim wahadłem zegarowym, tętniącym: radość! rozpacz! radość! rozpacz! i aby także miał stać się stworzeniem tak nędznym, tak okropnie zmaliałem, skurczonem, wobec samego siebie i swojego niestałego jak wiatr, a jak wszystko na ziemi tajemniczego przeznaczenia!

Słyszałem, szczególnież czytałem wiele o rekonwalescentach, którzy powracające do nich zjawiska świata i tętna życia witają z błogością niewymowną. Dlaczego ze mną było inaczej? Naturalnie. W książkowych opisach rzecz dzieje się zazwyczaj na wiosnę, lub w lecie, najczęściej na wsi, jeżeli i w mieście, to na wiosnę lub w lecie, kiedy słońce promiennie świeci na czystym lazurze nieba, drzewa stoją w zieleni, kwiaty kwitną, ptaki świergocą, zefirki roznoszą w powietrzu miłe wonie... Powracającą do zdrowia osobą bywa dziewczeczka naiwna, młodzian pełen poetyczności, mąż ukochany, żona ubóstwiająca, ojciec rodziny i tym podobne istoty, którym krogulcze zapytania w mózgu się nie zstępują, czarne myśli chmurą nie zsuwają się do wnętrza, na które otaczający dmuchają, chuchają, zlewają morze miłości, wezbrane od doznanej trwogi. Kto wie, czy nie to właśnie dmuchanie i chuchanie miłości odwiewa od nich krogulce i chmury? Więc jak dzieci naiwne i ufne wracają na łono matki ziemi, z dziecinną uciechą wyciągają ręce (wśród pięknej i świeżej natury) po przysmaki, któremi delektują się (zawsze wśród pięknej, świeżej natury) z tem większą przyjemnością, im bliższe było przypuszczenie, że ich już nigdy — kosztować nie będą. Ze mną inaczej: mnie otaczają cztery ściany hotelowego pokoju, pokryte obiciem amarantowem, po którym wiją się nieco jaśniejsze, ale także amarantowe arabeski. Sprzęty amarantowym aksamitem powleczone, parę politurowanych stołów, zwierciadło, łóżko, wieszadło na odzież i — koniec! Ani śladu drzew zielonych, ptaszków świergocących i miłych zefirków. Za dwoma wielkimi oknami, nad którymi spuszcza się dobrze przybrudzony feston z amarantowego aksamitu — zima biała, w mieście od karnawału oszalałem. Ściana przeciwległego domostwa jasnobrunatna,

nad nią dach od śniegu biały, wyżej jeszcze biały pasek nieba, w głębokim dole biały pas ulicy, po której mkną z brzęczeniem dzwonek roje sanek i — nic więcej. Ani śladu lazurów i złocistych promieni. Tyle co do natury; ludzie gromadnie zapisywali swoje nazwiska u drzwi moich, dopóki były one przed nimi zamknięte, a gdy tylko otworzyły się, poczęli przez nie wchodzić także gromadnie. Grady zapytań, elegje żalów, hymny uciechy i — ogromne, niepodobne do utajenia zajmowanie się moją chorą ręką, Ręka! czy być może? I to prawa! Co za traf szczególny i nieszczęśliwy! Ale przecież to przejdzie! Naturalnie, że przejdzie! Niepodobna, aby los był tak okrutny, aby przyprawić świat o tak niezmierną, kolosalną stratę! Jednak, co to jest? co mówi lekarz? jak się to nazywa? jak prędko przejść może? Z gradem tych pytań grady życzeń najlepszych, najgorętszych, lecz razem z nimi coś takiego w wyrazach twarzy i spojrzeniach, coś niepodobnego do ułowienia i zamknięcia w słowach, ale co mówi: „może być bardzo, że jesteś zgubionym!” „Ot, może już i po wszystkim!” „Jeżeli nie przejdzie, to... no! trzech groszy wart nie będziesz!” Stałem się przenikliwym i w dwóch czy trzech parach oczu dostrzegłem na dnie, na samej najdalszej głębi, szybkie jak błyskawica zamigotanie radości. Zdziwiło mię to zrazu bardzo. Cóż złego zrobiłem tym ludziom? Nic a nic dobrowolnie, lecz mimowolnie — zaćmiewałem ich, usuwałem na plan dalszy... jeżeli zniknę, oni wysuną się naprzód. Ale to były wyjątki. Ogromna większość troszczyła się szczerze o moją przyszłość artystyczną, ale za nią mnie samego nikt nie dostrzegał. Jeżeli talent twój przepadnie, będzie to dla nas żal, dla świata strata wielka, ale ty sam jako człowiek, wcale nas nie obchodzisz. Nikt z nas nie jest tobie bratem, ani swatem; jeżeli uwielbiamy cię i drżymy o ciebie, to jako o artystę, a jeżeli dla tej lub owej przyczyny przestaniesz być artystą, ciebie samego rzucimy do kąta, jak łachman znoszony i nikomu niepotrzebny. Twoje osobiste wady i przymioty nie posiadają dla nas znaczenia żadnego i z góry już przebaczymy ci pierwsze, a nie wymagamy od ciebie drugich, bylebyś pozostał artystą, czyli, bylebyś nadal, tak jak dotąd, dawał nam sumę wzruszeń, których potrzebujemy. Twoje zgrzyoty, żale, rozpacz obchodzą nas tyle, co śnieg przeszloroczny i dotąd tylko czynić będziemy starania nad ich umniejszeniem, dokąd nie utracimy nadziei, że uratują one artystę, naszego artystę, sprawcę naszych duchowych przyjemności i korzyści. Z chwilą, w której się przekonamy, że artysta zginął, na człowieka machniemy ręką i oddalimy się, co najwięcej pokiwawszy nad nim głową litościwie. Czynili starania, doradzali i nawet przyprowadzali mi słynnych lekarzy, znosili z miasta wiadomości i plotki, czytawali mi gazety, ze mną, lub tylko w obecności mojej grywali w karty. Panie przysyłały kwiaty i na papierkach najmodniejszych słówka najpochlebniejsze. Ale w tem wszystkim nie było ani śladu boskiego oddechu miłości...

Jednak, była na ziemi, i nietylko na ziemi, ale w tem samym mieście, istota, która mię kochała, której pierścionek zaręczynowy polyskiwał mi na palcu wielkim brylantem. Musiałem nakoniec zdecydować się na myślenie o niej. Śliczna panna, prawdziwe połączenie wszelkich możliwych przymiotów ciała, ducha i położenia w świecie. Wysokiego rodu, niezbyt bogata, lecz zupełnie majątku pozbawiona, wychowana cudownie, wysmukła blondynka z czarnymi oczyma i rysami greckiego posągu. Była przytem cała sercem, czułością, poezją, uniesieniem dla tego, co dobre, prawdziwe i piękne. Uniesienie dla gry mojej było pierwszym łącznikiem naszym, ale potem, Boże! ileż znalazło się różnych innych! Była tam ta rzecz pierwotna, którą jest pociąg zmysłowy, ale przyozdabiała ją rzeczy z wysokiej naszej cywilizacji wykwitające, jako to: jednostajność uniesień dla wszystkiego co dobre, piękne i prawdziwe, a także doskonała odpowiedniość towarzyska, bo jeżeli ona pochodziła z rodu wysokiego i przyozdobionego mitrą, jam do przyzwoitego urodzenia dodał sobie koronę sławy, jeżeli ona posiadała niejaki majątek, moje skrzypce były fortuną wielką. Więc związek nasz miał odpowiadać w zupełności wszelkim wymaganiom ciała, ducha i konwenansu. Mama i papa byli zadowoleni, my — ach, my, — w pewnym pokoiku, który obok wspaniałego salonu wyglądał jak gniazdko zaciszne i przyciemnione, całymi godzinami przebywaliśmy u samych wrót nieba... Jakież rozmowy długie i zawsze zgodne o cudach i tajemnicach sztuki! jakie szepty nieskończone o uczuciach wzajemnych i przyszłości wspólnej, jakim boskiem zatapianiem się oczu w oczach przerywane, a kończone pocałunkami — jakimi! Cóż dziwnego? Zaręczyny nasze odbyły się szumnie, hucznie i publicznie, ślub miał się odbyć wkrótce.

Wszystko to było przyczyną, że, zapadając w otchłań, głośno ją przywoływałem, a ilekroć wychylałem się z otchłani, zdumiewało mnie, że jej nie widzę. Było we mnie nie pojęcie, nie przekonanie, ale wprost uczucie, że jej obecność musi być nierozłączną z moim cierpieniem. W majaczeniach gorączkowych brałem za nią pocziwą kobiecinę w białym fartuchu, a każdy odnawiający się błysk przytomności ponawiał pytanie zadziwione i dręczące: dlaczego jej tu nie ma? Dlaczegoż miała być koniecznie? Do rozumowań, choćby najpobieżniejszych, nie byłem podówczas zdolny, czułem tylko taką pewność, że ona musi być ze mną, gdy cierpię, jaką budzą tylko najpierwotniejsze fakty naturalne, na przykład: światło w dzień, albo ciemność w nocy. Istota, która po niezliczone razy i na wszystkie tony uczuciowej harfy powtórzyła, że mnie kocha nad świat, nad życie, nad siebie, która omdlewała z upojenia przy każdym dotknięciu smyczka mego do strun i dłoni mojej do jej ręki, ta istota, na której ustach tyle razy spoczywały moje usta i która z radością bez granic przyrzekła losy swoje połączyć z moimi, nie jest ze mną wtedy, gdy śmierć i życie toczą o mnie zażartą walkę, gdy lada chwila mogę zniknąć z jej oczu na zawsze, gdy żadna godzina, żadna minuta nie może jej, oddalonej, upływać w pewności, że jeszcze — jestem! Nie szeregowałem w ten sposób pobudek swego zdumienia, ale w stanie zmieszania i głuchej świadomości były one we mnie i z tajemniczych głębin duszy, do których nie wnikają żadne prawa ludzkie, podnosiły uczucie zdumiewającego przeinaczenia się jakiegoś prawa natury. Potem już zacząłem rozumować i przypominałem sobie, że oprócz praw natury istnieją prawa świata. Z jednej strony: miłość, z drugiej te rozmaite pojęcia, które zawierają się w dwóch wyrazach: nie wypada! Jakim sposobem zapomnieć mogłem o tem, ja, który przecież nie żyłem na pustyni, ale pośród świata w pełnym znaczeniu tego wyrazu? Jednak zapominałem. Umysł mój tak silnie uderzony został przez rzeczy ogromne, że drobiazgi z niego wypadły, a powstało nadzwyczaj ściśle połączenie dwu równie ogromnych rzeczy: śmierci i miłości. Zdawało mi się, że one tylko są równymi sobie potęgami i jedynymi prawdami istotnymi; że tylko prawo miłości może wynagradzać życiu tę niesłychaną krzywdę, którą wyrządza mu prawo śmierci. Tymczasem, oto co się stało! Jedno prawo o mało nie skruszyło na proch mojej wielkości, drugie skruszyło się samo pod dwoma słówkami: nie wypada! Rozbierzmy te słówka i zobaczmy, co one zawierają. Najprzód: pojęcie skromności, następnie, pojęcie bezpieczeństwa. Długie sam na sam w zacisznem i przyciemnionem gniazdku, gdym był zdrów i wesół, nie obrażały skromności, lecz obraziłoby ją czuwanie nademną, gdym cierpiał i prawie umierał. To jedno. Następnie, gdyby wypadek stał się nazajutrz po ślubie naszym, rzeczy uległyby przemianie całkowitej: nieprzystojność wzbронiona, byłaby obowiązkiem świętym. Dlaczego? Bo zaszedłby fakt materialny, zwierzęcy, umieszczany zazwyczaj na ostatnim szczeblu drabiny miłości, którym jest związek ciał. To co zazwyczaj umieszczane bywa na samym szczycie tej drabiny: mianowicie, związek dusz, oddawna już był pomiędzy nami faktem spełnionym i nie dawał praw, których udzieliłby w zupełności tamten. Cóż tu jest prawdą, a co kłamstwem? Co ważniejsze, a co mniej ważne? Zstępując na dno pytania, znajduje się wielkie omamienie ludzkości, która przez imaginację wzbija się w etery, a całą rzeczywistością tkwi w ziemskiej glinie. Do faktu umieszczonego na najniższym szczeblu drabiny przywiązana jest waga najcięższa, bo jest on istotnie najpowszechniejszy, najważniejszy i bez niego nie byłoby żadnej drabiny. Odwracam oczy i posuwam się o krok dalej. Niebezpieczeństwo. Jakie? Niesławny. Ależ ta kobieta zostać miała moją żoną. Tak, a gdybym umarł? Mogłaby przez ściągnięcie na siebie niesławny nie zostać niczyją żoną, albo zostać nią z trudnością i nieprędko. Więc gdy człowiekowi ukochanemu grozi porwaniem śmierć, kochający nietylko myśli o tem, że ktoś może porwanego zastąpić, ale troszczy się, aby nic temu nie przeszkodziło. Może myśli i troszczy się niejasno, niewyraźnie, tyłem mózgu... ale zawsze jest to mieszanina pieprzu, octu i lukrecji, która odbiera smak do miłości. Miłość i „nie wypada!” Zupełnie tak samo para jak: artysta i bakcylus. Tu i tam nieskończona małość zjada największą znaną człowiekowi wielkość. Pfu, jeżeli jej miłość była taką...

Ale oto list od niej, właściwie liścik mały, pachnący. Dotykając jego atlasowej powierzchni, doświadczam złudzenia, że dotykam jej ręki i czuję się silnie wzruszonym. Moja biedna, droga, niesłusznie oskarżona! Niegodziwcem jestem, skoro zapomnieć mogłem, że przecież ona nie jest wolna, że w jej wieku i położeniu towarzyskiem kobiety są zależnymi od woli innych! Przebac, Henryko! O, jakże pragnę na klęczkach błagać

o przebaczenie za to, że w sercu mojem mógł podnieść się głos oskarżający cię o małość, gdy była to tylko twoja boleść! Ale co to? „Panie!” Nazywa mię panem! Posiadam przecież całą paczkę jej listów, w których nazywała mię wprost Juljuszem! I nietylko w listach tak mię nazywała! Dalej słowa nieporównanie grzeczne z odcieniem przyjacielskości dla człowieka i wyraźnem uwielbieniem dla artysty. Grzeczność wykwintna, przyjacielskość najżyczliwsza! Co to wszystko znaczy? Skąd się to wzięło pomiędzy nami? I nic więcej? Nic. Na drugiej stronie arkusika list się kończy. Przypatruję się trzeciej, czwartej, i choć widzę, że puste, przypatruję się jeszcze. Przypominam sobie, że są takie płyny, któremi skreślone pismo jest niewidocznem i występuje na jaw tylko przed tym, kto posiada tajemnicę jego wywoływania. Może takim płynem, napisane tu jest to, co powinno być napisane z prostej logiki uczuć i wypadków, jako proste następstwo przyczyn — powinno! Wkrótce zaśmiałem się z samego siebie i swego czarodziejskiego płynu. Wcale inne czarodziejstwo zająć tu musiało, ale jakie? Od myślenia nad tą zagadką nadaremnie pękała mi głowa — czy tylko głowa? przez dwie doby, u których końca rozwiązał mi ją jej ojciec. Odwiedzał mię co dwie doby. Niepodobna nie odwiedzać przyszłego zięcia, który przebył ciężką chorobę i w dodatku jest człowiekiem — sławnym. Przytem łączyła nas z sobą życzliwość serdeczna. Wielki pan z rodu był melomanem zawziętym i człowiekiem łagodnym, dobrym, wesołym, co mię odrazu zachwyciło i podbiło; potem, czułem dla niego wdzięczność głęboką za to, że przystał chętnie, aby skarb jego został moim. On ze swej strony przepadał za moją muzyką najspeciallyj, a w ogólności za całą moją osobą. Utrzymał, że posiadam trzy rzeczy szczerolote: smyczek, serce i humor, co czyni mię wielkim artystą, dobrym człowiekiem i miłym chłopcem. „Papeczko zapomina o jednym jeszcze przymiocie Juljusza!” — figlarnie zauważyła raz Henryka. (Nawet w obecności ojca nazywała mię niekiedy Juljuszem). — On, śmiejąc się, odpowiedział: „Co? piękny wzrost, grecki profil, aksamitne oczy! O tem wszystkim ty już, kochanie, sąd wydawaj!” Wydawała o tem wszystkim sąd podówczas, gdy zostawaliśmy we dwoje. Teraz ten zacny i zakochany we mnie człowiek odwiedzał mię raz na dwie doby, ale nie dziwiło mię to wcale. Interesy, goście, niezdrowie, przytem może i „nie wypada”. Świat mógłby pomyśleć, że zanadto pieczołowitości okazuje narzeczonemu córki, że może go zjednywa lub przytrzymuje. Ale po liście Henryki z „panem” i z tonem przyjacielskości najżyczliwszej, spojrzałem na niego wzrokiem zaostrzonym przez niepokój prawie gorączkowy. Był tak samo doskonale grzecznym i najżyczliwiej przyjacielskim jak jej liścik, ale tak jak liścikowi, brakowało mu paru nut, jak mi się zdawało, koniecznych. Daleko mniej niż przedtem poufałości, owszem, wyraźna chęć zwiększenia, wprawdzie niewielkiego, o parę kroków tylko, ale zawsze zwiększenia, przestrzeni nas dzielącej. Gawędka napozór swobodna, ale z wyglądającą przez oczy wsteczną myślą, której kłopotliwość zdradzały chwilowe znieruchomienie oczu i charakterystyczne u niego przebieganie po stole palcami, o paznogiach w migdał obciętych. Oddawna już byłem zauważył, że przebiegał w ten sposób palcami wtedy tylko, gdy był zakłopotany. Nakoniec, po upływie dobrej godziny, wsteczna myśl wysunęła się naprzód, sformułowana w zapytaniu: „czy nie myślę, że ślub nasz z Henryką odłożony być powinien... niebardzo, trochę tylko, do czasu mego zupełnego wyzdrowienia?” Miałem zadziwić się, bo przecież wyzdrowienie to było już prawie zupełne; ale zadziwienie moje powstrzymane zostało w drodze przez jego spojrzenie, mimowolne instynktowe, spojrzenie na moje prawe ramię. Nie chciał spojrzeć, stało się to mimowolnie i błyskawicznie szybko, ale też jak błyskawica mózg jego przedemną oświeciło. Jak w otwartej książce wyczytałem w nim żal przyjaciela i troskę ojca. Wcale, wcale nie był złym człowiekiem, owszem, współczucie dla mnie wypychało mu z gruczoła łzawego kroplę wilgoci, niemniej żądał odłożenia ślubu do czasu — który teraz jeszcze nie może być... w żaden sposób nie może być stanowczo określony. Pierwszym moim popędem było przystać z największą chęcią i najswobodniejszym w świecie uśmiechem przystać, lecz powstrzymała mię myśl: „ona zależna, ona może niewinna!” i prosiłem o odłożenie postanowienia do pierwszego widzenia się mego z Henryką. W kilka godzin potem, śmiejąc się wesoło, zapytałem swego lekarza:

— Powiedzże mi, konsyljarzu, co tam naplotłeś o mnie — wiesz gdzie?

Zmieszał się bardzo, a zaraz potem z uniesieniem zawołał, że to nie on wcale, na honor się zaklina, że nie on, ale profesor głośno i przed wszystkimi utrzymuje, że prawej

ręce mojej grozi atrofja mięśni i że prawdopodobnie nigdy już nie będę mógł grać na skrzypcach. On, przeciwnie, był odrazu i jest dotąd tego zdania, że to przejdzie. Ale sprzeczały się przed wielu osobami, zdanie profesora obudziło snąc więcej ufności i oto co się stało!...

— Cóż się stało?

— Rozeszła się po mieście pogłoska o zerwaniu...

— Już się rozeszła ta pogłoska! Vox populi, vox Dei!

Naturalnie; mój talent, czy tam mój genjusz, to jedna rzecz, a ja sam, druga. Z nim jestem klejnotem ludzkości, bez niego łachmanem do wyrzucenia za okno. Złote serce i złoty humor straciłyby całą wartość, gdyby je opuścił złotodajny smyczek. Z tą mennicą i z tym ogrodem laurów byłem partją wyśmienitą; jeżeli je utracę, spadnę pomiędzy biedaków, którym od panien dobrego rodu — wara! Ogół, rozumiejąc i zatwierdzając tę prawdę, z góry już głosi, że nieszczęście moje musi być nożem, który odetnie odemnie kochającą mię kobietę. Vox populi, vox Dei!

Ale ona, Henryka, może prawdy tej nie rozumie i nie zatwierdza? Wprawdzie, ten jej liścik... mogła go przecież napisać tylko przez uległość dla woli cudzej. Najpewniej tak być musiało! Ona, tak czule kochająca, tak wierząca w moją miłość dla niej, mogłaby myśleć o opuszczeniu mię dlatego, że mię może opuści szczęście, cofać się przed przyszłością, która z pomiędzy sławy, bogactwa i mnie miała ją obdarzyć tylko mną? Gdzie tam! To niepodobne!

Od promieni zimowego słońca złocene ramy obrazów i zwierciadeł zapalały się gdzie-niegdzie migotliwymi iskrami, gdy w wielkim salonie staliśmy naprzeciw siebie zmieszani tem sam na sam, w którym nas pozostawiono. Tyle razy jednak bywaliśmy przedtem we dwoje i doświadczyliśmy tylko radości i szczęścia. Ale teraz padło pomiędzy nas coś ciężkiego i zimnego. Pragnąłem wyciągnąć do niej ramiona, lecz powściągnęło je nurtujące umysł podejrzenie, jeszcze niepewne, jednak cierpkie. Ona zapewne pragnęła spojrzeć na mnie tak jak dawniej patrzyła, lecz wzrok jej, po chwilowem błędzeniu dokoła, ukrył się pod spuszczone powieki. Cóż to za dziwne uczucie, gdy ludzie, którzy nigdy nie miewali dość czasu, aby nasycić się rozmawianiem z sobą, których rozmowy bywały jak potoki górskie, ze śpiewem i roziskrzeniem fal, zlewając się w jedną rzekę, tracą nagle wiadomość jak i o czem mówić ze sobą mają. Z bardzo podobnem uczuciem spoglądamy na człowieka konającego. Tylko co był, tak długo był, tyle nam przypomina, tyleśmy chwil z nim spędzili i oto, wnet go nie będzie!

Nakoniec, zapytałem: czy podziela zdanie ojca, że ślub nasz odłożyć należy do czasu nieokreślonego?

Pochyliła trochę czoło, oblane różową luną i zcicha odpowiedziała: — Zdaje mi się... że tak być musi!

Kiedyś dom ten opuszczał, zmrok opadał na białosc ulic wysłanych śniegiem i nie było naokoło mnie żadnego światelka i żadnej iskry. To, czego doświadczałem, najwłaściwiej porównać można do zmroku, w którym nie pobłyskuje żadne światelko, ani nawet żadna iskra. Wbrew opisom i opowiadaniom powszechnym, nie czułem w sobie gwałtu ani burzy uczuć. Krok mój stał się nie przyspieszonym i nierównym, lecz, przeciwnie, ociężałym i powolnym; ramiona, zamiast miotać się i załamywać, opadały w dół nieprzewyciężenie i bezwładnie. Było to kamienne, bezdenne, prawie bezmyślne zniechęcenie, na którego dnie szlochał jakiś naiwny dzieciak, chłostany przez śmiejącego się cierpko mistrza.

Co to za bańka mydlana pękła w powietrzu i obryzgała mię brzydką pianą? Były to tęcze i brylanty, które przemieniły się w mydliny! Więc taką była miłość, przyozdobiona i aż pod niebo wyniesiona przez wszystkie duchowe ozdoby i dźwięnie? Znałem inny gatunek miłości, ale nim gardziłem i sobą także, ilekroć napiłem się z jej mętnego kubka jej uciech niskiego rzędu. Tę poczytywałem za wzniosłą i prawie — świętą. Nie jest-że świętem uczucie, które nietylko ciała, ale i dusze ludzkie splata w akord przeczysty i przepyszny, a przez dolę i niedolę ma towarzyszyć nam do grobu? Otóż, wcale nie czyste i wcale nie pyszne biedactwo to, jak drobna pylina, zemknęło przed pierwszym podmuchem trochę ostrego wiatru i jak nędzarz, z przeświecającymi przez łachmany ranami, skonało!

Kiedym przez wielki salon szedł ku wyjściu, słyszałem za sobą tłumione łkanie i ani odwróciłem się, ani kroku nie zwoleń. Płakała tego, żem ją pożegnał na zawsze. Pocięszy się wkrótce, a jeżeli nawet pocięszy się nieprędko, nic mię to nie obchodzi. Już nie chcę jej, ani jej miłości. Było to kruche cacko, które brałem za gwiazdę, lecz gdy zlamalo mi się w rękach, poznałem swoją omyłkę i nie chcę kruchego cacka tem więcej, im z większą pewnością brałem je przedtem za gwiazdę. Poprostu uczucie moje umarło i oprócz uczucia wiara w możność istnienia czegoś wysokiego i trwałego w tym rządzie zjawisk. Naiwny dzieciak, pomimo chłosty mistrza, szlochał coraz głębiej i głośniej, nie po kobiecie, ale po uczuciu. Śmierć uczucia przebiegała mię od wierzchołka czaszki do palców u stóp strumieniem żałości, której lzy zniechęcenie ścinało w kolące cyple lodu.

— Czy przyjmujesz, kochany mistrzu, bandę wielbicieli, którzy przychodzą, aby cię rozerwać.

— Z radością. Nie mogliście przybyć bardziej w porę!

Rozrywaliśmy się od zmierzchu do świtu. Pokój z amarantowem obiciem, od sufitu do posadzki pełen był światła lamp i świec, dymu cygarowego, pyłu kredy, unoszącego się z nad stołów kartowych, rozmów, dowcipów, anekdot, śmiechu, wystrzałów butelek odkorkowywanych, brzęku szkła, metalów i porcelany. Grałem w wista i bakkarata, rozmawiałem, śmiałem się, piłem szampana, jadłem ostrygi i jarzabki. Jak spali tej nocy hotelowi sąsiedzi moi, nie wiem; najpewniej nie spali wcale, lecz nikt nie śmiał przerywać zabawy wrzającej i huczającej w mieszkaniu mojem. Dużo po północy wrzawa i huczenie wzdeły się do grzmotu; banda wielbicieli piła zdrowie moje i z okrzykami najgorętszej miłości wzniosła mię na rękach prawie pod sufit. Śmiałem się jak szalony, dziękowałem, całowałem, przyrzekałem wdzięczność i przyjaźń do grobu, plotłem dowcipne i nieprzyzwoite głupstwa, bawiłem się wymieniciele, byłem pijany...

Potem, zrobiła się dokoła mnie cisza wielka. Wszyscy powychodzili, jedna tylko dopalająca się świeca, w mgłę dymu i pyłu, mętnie oświetlała porozsuwane sprzęty, poplamioną posadzkę, karty pomięte, kredy połamane, naczynia z resztkami jada, krople zastygłej stearyny, małe strugi rozlanych napojów. W hotelu i w mieście panowała jeszcze cisza prawie grobowa, która po wrzawie prawie piekielnej obudziła mię jakby ze snu. Pfu, jakiż to był brzydki, głupi sen! Od lat wielu miewałem podobne często, lecz nigdy z taką jak teraz jasnością nie uczulem ich szpetoty i głupoty. Z taką jasnością i z takim obrzydzeniem je uczulem, że poprostu chwyciło mię za gardło i krztusiło razem z dymem, w którym nurzałem się jak w brudnej fali. Moznaby mniemać, że zapaliła się we mnie jakaś lampa i oświetliła śmiecie, zalegające próżnię ostatnich godzin. Myślałem, że przed kilku zaledwie tygodniami, w tym samym pokoju, o mało nie stał się akt groźny i stanowczy, którym jest śmierć człowieka, że przed kilku zaledwie godzinami zesła tu niemniej zadziwiająca i żalosa śmierć uczucia. Czy podobna, aby ten, kto raz pomyślał, że to widmo jest właśnie rzeczą najprawdziwszą, najpewniejszą i najbardziej nieuniknioną ze wszystkich rzeczy ziemskich, mógł pamięć o niej utopić w orgji? Przekonałem się, że dla mnie było to niepodobnem. Z huczących śmiechem i szumiących winem fal orgji widmo wyszło większe, niż kiedy i większym, niż kiedy ciężarem położywszy się mnie na piersi, sprowadzało mój piękny wzrost do małości — robaka.

W ciszy głębokiej rozległy się przeciągłe, basowe dźwięki miejskiego zegara, ogłaszającego poranną już godzinę. Wsłuchiwałem się w nie, jak w uroczyste, smutne, odległe wołanie czasu, przestrzeni, nie wiem zresztą czego, ale czegoś wielkiego. Nagle schwyciła mię tęsknota — za czem? nie wiedziałem, ale za czemś wielkiem. Nie pamiętam jak i kiedy znalazłem się u okna ze skrzypcami i smyczkiem w rękach. Tu była zaklęta jedyna moc dobra i piękna, której byłem władcą; tu przebywał jeżeli nie blask, to choć promień, choć mały, błędny promyk ideału. Więc promieni ideału nie zabija we mnie śmierć uczucia i wiary, nie pochłonięła orgja; przeciwnie, jakby nakarmione niemi, wybuchnęły one tęsknotą rozdzierającą...

Oparłem o pierś skrzypce i podniosłem smyczek... trochę tylko... wyżej podnieść nie mogłem i po strunach przeprowadzić go nie mogłem... Przekleństwo! Może to już ta atrofja mięśni?... Może już nigdy?... Z tym wyrazem upadłem na sprzęt najbliższy i z twarzą w dłoniach, myśląc: może nigdy! może nigdy! może już nigdy! płakałem jak

dziecko ze szlochaniem głośnym, ale łzami nie dziecinnymi, bo tak palącemi, że przeznaczenie roztopićby się w nich mogło, gdyby było tylko ze stali.

Jednak powstało we mnie i uczucie zupełnie dziecinnie. Doświadczylem pragnienia, aby w tej chwili złośliwej i czarnej był przy mnie ktokolwiek dobry i jasny, jakaś istota, któraby w milczeniu, miękko, łagodnie, wzięła mi głowę w dłonie i u piersi swej uciśzyła wrzącą w niej burzę. Nie Henryka, nie; nie ta wspaniała panna, która z triumfem idzie przez życie i tylko z triumfem iść dalej chce i może, ale ktoś cichy, skromny, przed którym nie wstydziłbym się swojej nędzy, widząc że kochany nietylko pomimo niej, lecz i za nią... Tęsknota mię zdjęła straszna za jakimś sercem, któreby było mojem, własnem, bez warunków, bez drobiazgów, bez „nie wypada”! Rojenia dziecinnie! Alboż jest na ziemi serce takie, choćby nie moje — jakiegokolwiek?... Myślałem, że go niema... lecz, gdyby wtedy objawił mi się anioł, padłbym przed nim na klęczki i całowałbym jego stopy, chociażby miał na rękach rękawiczki — u palców dziurawe!...

III

Uderzono w trąby i kotły, przygotowano pochodnie triumfu, zaśpiewano hymny pochwalne: wielki, genialny, znakomity, nieoceniony mistrz uratowany został dla świata i przywrócony sztuce! Kto chce oglądać ten odszlifowany klejnot i słuchać tych wskrzeszonych pieśni, niech idzie tam a tam i zapłaci tyle a tyle... bardzo drogo, to prawda, ale taką jest cena rynkowa genjuszów.

Bardzo wysokie ceny miejsc nie zraziły nikogo, ani tych, którym wyjęły z paszetu udko jarzabka, ani tych zapewne, którym uszczupliły chleb powszedni, własny albo i cudzy.

Sala koncertowa ogromna, ludzie duszą się prawie w ścisku i huczą w rzęsistem świetle jak wichur przed wybuchnięciem burzy. Tłum ten, którego każdy osobnik bywa zazwyczaj wyrazem coraz innych losów i uczuć, znalazł się teraz w jeden wyraz ciekawości i uciechy, tak silnie krew chłuszczącej, że pod huczeniem głosów nieledwie dosłyszec można szmer uderzających śpiesznie serc i pulsów. Kobiety zawczasu bledną od wzruszenia, mężczyźni marszczą czoła od pilnej uwagi. Nagle, wszystko to wybucha potężnym grzmotem; widzę tysiące twarzy uśmiechniętych przyjaźnie, albo wprost miłośnie, tysiące par oczu rozplamionych od ciekawości i wzruszenia, tysiące postaci wyciągających ku mnie rozmiotane dłonie, ktoś podaje mi więź kwiatów buchających silną wonią, kilkadziesiąt mniejszych pada u stóp moich, z grzmotem oklasków zapalczywych, nieskończonych, milknących na chwilę i ze zdwojoną siłą wybuchających znowu, i znowu, i znowu, łączy się basowy turkot jednego tylko, przez ust tysiące powtarzanego wyrazu: brawo! brawo! brawo! brawo! Tu i owdzie wystrzeliwa, ze swoją samogłoską otwartą i przewlekłą słowo: witaj! witaj! witaj! Triumf zupełny, niesłychany, prześcigający wszystkie, których kiedykolwiek doświadczałem. Radość niezmierna, szalona, kipiátkiem obiega mi żyły, wzdyma pierś i wysoko podnosi głowę, nad którą, dawnym ruchem swoim, pewnym i szerokim, podnoszę smyczek, brylantami jego krzesząc sobie nad czołem nimb tęczyowych błysków. Ten smyczek z wprawionemi węń brylantami wielkiej ceny, otrzymałem niegdyś w darze od instytucji muzycznej jednej z największych stolic świata; posługiwałem się nim nie często, bo miałem inny, zupełnie zwyczajny, lecz dawny, ukochany, którym właśnie wygrałem sobie tamten. Wieczoru tego przecież tem wspaniałem trofeem, jak berłem królewskim, chciałem powitać świat po niewidzeniu długim, o którym myślałem był nieraz, że będzie wiecznym. Myliłem się. Przeszło. Tym razem przynajmniej przeszło. Po raz pierwszy, oddawna, wciągając w piersi atmosferę triumfu, którą przez całą młodość oddychałem, nie mam w myśli wyrazów: „tym razem przynajmniej”, wogóle nie myślę wcale, tylko czuję. Czuję, że znowu jak dawniej, mogę ze strun i z siebie wydobywać pieśni, które długo owijały mi wnętrzości, jak węże gryzące, bo nieme, że znowu jestem władcą dusz ludzkich i kochankiem sztuki. Czuję, że u pieśni moich, jak u sznurów czarodziejskiego dzwonnika, zaczepione są wszystkie te serca i że moja ręka według woli je rozkołysuje, to wolniej, to szybciej, wydobywa z nich wszystkie tony, do których są zdolne, budzi w nich takie struny, o jakich nie wiedziały same, rzuca je w płomienie, w głębie, na szczyty, których nie zaznałyby nigdy bezemnie. Czuję się znowu poetą, twórcą, ptakiem rajskim, triumfatorzem. Uczucia te są radością bezbrzeżną i prawie bezprzytomną,

bo upajają tak, jak żaden z trunków ziemskich upajać nie może, jak chyba nektar upajał Apolla, gdy w siedmiopromiennej koronie, na srebrnostrunnej lirze grał zachwyconym bogom i ludziom. Zachwycenie publiczności nie ustaje ani na chwilę, owszem, wzmagają się z każdą chwilą; słuchają z namiętnością, prawie ze czcią, ale niekiedy zapal silniejszym jest nad cześć i nie daje mi snuć pieśni ciągiem nieprzerwanym. Jak z chmury, nabrzmiałej elektrycznością, zrywają się krótkie burze oklasków, do uderzeń piorunów podobne, albo głuche turkoty jednego, tylko wielekroć powtózonego wyrazu: brawo! lecz wnet milkną i pieśń wylania się z nich znowu swobodna, szeroka, zwycięzka, rozpuszczone-mi skrzydłami żeglująca po niezgłębionych i niezmiernych toniach ideału. Najbliższe przedemną dwa czy trzy szeregi siedzeń przywodzą na myśl półkolisty klomb kwiatów podzwrotnikowych i świeżą skropionych rosą. Są to damy panujące światu z najwyższych pozycji towarzyskich, sam szczyt i wykwił wdzięku, elegancji, delikatności skóry i nerwów, wykształconego smaku, przywodzą na myśl kwiaty podzwrotnikowe i skropione rosą, bo taką jest wspaniałość i rozmaitość ich barw i postaci, bo tak błyszczą i migocą drogie kamienie na ich włosach, rękach, wpółobnażonych piersiach. Grek nazwałby to Olimpem, mahometanin haremem, ja wiem, że klomb ten jest: wielkim światem i że w tej chwili ja nad nim panuję. Być władcą i niemal bóstwem wielkiego świata! bagatela! Zawsze miałem słabość do robienia sobie wśród niego miejsca, zawsze rozkoszą napawała mnie myśl: „nie urodziłem się pośród was, a jednak, rozstępujcie się, abym wszedł w koło wasze i jeszcze podsuwacie mi pod nogi piedestał, abym z niego nad wami panował.” Teraz, gdy wstępowałem nanowo w posiadanie wielkiego świata, o mało nie utracone, myślałem: rychło, rychło tam która zemdleje i rozpuszczoną kosą zamiecie ziemię u stóp moich? ile też jutro spłynie na mnie stamtąd powinszowań, zaproszeń, słówek, za których gazą kołyszą się amorki? Czy pośród nich jest Henryka? O, gdyby była, gdyby widziała, nade wszystko słyszała! Zwinna i zimna jak jaszczurka wśliznęła się we mnie żądza pomszczenia się nad kobietą, która tak przedwcześnie i tak nieogłędnie wzięła mnie za nędzarza, gdy miałem jeszcze powstać — mistrzem. Stchórzyło biedactwo i — uciekło! Nie widzę jej, zapewne stchórzyła i teraz. Mniejsza o to! Kiedy tej niema, jest setka takich samych! Wszystkie takie! Wśród płomieni radości i triumfu zapalił się jeden jeszcze ogień: nienawiści dla kobiety, dzięki której myślałem: wszystkie takie! Winienem był jej wdzięczność, bo zdjęła mi bielmo z oczu, jednak za to właśnie nienawidziłem jej i pragnąłem zemsty...

Nagle wzrok mój wypadkiem dziwnym w tłumie postaci wyróżnił jedną i aż do końca już się od niej nie odwracał. Mówię wypadkiem dziwnym, bo wobec pysznego półkola kwiatów podzwrotnikowych, była to konwalja, niezapominajka, może fiołek, nie wiem już doprawdy, do której z ozdób polnych lub leśnych najwłaściwiej byłoby ją porównać, ale wogóle istotka malutka i której obecność w najmniejszym stopniu świetnego zebra-nia nie przyozdabiała. Siedziało to niezbyt daleko od wyniesienia, na którym grałem, ale na jednym z miejsc najpodrzedniejszych i najmniej wygodnych. Tłum przysłaniał ją w sposób taki, że widziałem tylko jej popiersie: ramiona szczupłe, czemś ciemnym okryte i główkę małą, podniesioną ku mnie z nieruchomością posągu. Wcale a wcale nie były to rysy posągowe, ale odrazu rzuciły mi się w oczy przypomnieniem zrazu niejasnym, ale miłym, potem wyraźnym i w sposób zupełnie dla mnie nowy — ponętym. Tak, tak; to to samo stworzonko bledziuchne i ubożuchne, które przed paru laty, na dworcu kolei, z uwielbieniem naiwnym, nieśmiałym, nieprzezwyrodnym, splatało ku mnie ręce w rękawiczkach dziurawych. Jest teraz mniej szczupłą, jakby nieco dojrzalszą, ale te same oczy przezroczyście i głębokie, tak samo ku mnie wzniesione, — ta sama sielanka. W upale dumy, triumfu i nienawistnych wspomnień wionęło na mnie tchnienie sielanki. Nie odrywając od niej wzroku, dla niej grać zacząłem.

Dlaczego patrzałem na nią i dla niej grałem? Lada jaki nawet żak lub fircyk, przez nikogo niezauważony, mógłby jej nie zauważyć, tak była małą; a zajęła mnie, który zajmowałem sobą wszystkich! Może przyczyną tego było podwójne widzenie artysty, które spostrzega niewidzialne innym podszewki zjawisk i, przebijając skorupę, dostaje się na głębie innym nieznanie. Ta mała głowa na szczupłych ramionach, wynurzająca się z pstrej powodzi, miała charakter prostoty i dobroci. Tylko, ale to właśnie szło mi do serca, niby coś takiego, czego ono potrzebowało i oczekiwało. Istotnie był kiedyś moment, w którym potrzebowałem i oczekiwałem dobroci jak — ratunku... Tonami jak słowami do niej zwracając się w myśli, opowiadałem, że ją przywoływał w godzinie rozpacz, która

przeminęła tylko na pozór, bo cień jej pozostał we mnie i w momencie szczęścia nie daje mi czuć się szczęśliwym do końca. Jak opar z mogiły, u której brzegu stałem, podniosła się chmura ciemna i raz wpłynąwszy mi w duszę, na zawsze już częścią jej pozostała. Szalona radość ponownego ślubu ze sztuką i sławą zepchnęła ją na dno, lecz nie wyrzuciła, bo czuję znowu w sercu i w gardle jej łzawą falę. Wielkim haustem napiłem się rozkoszy i chcę już być gdzieindziej, z kim innym, inaczej... Może z tobą, bo skądinąd pochodzisz i jesteś inną, może z hałasu w ciszę, ze ścisku w samotność, może w taką samotność, śród której byłby ze mną jeden tylko Anioł cichy i dobry. Pójdź do mnie! pójdź do mnie! pójdziemy razem... dokąd? Nie wiem... właśnie to jest moją trwogą i żalością, że nic nie wiem... Ale wiem, że mi trzeba czegoś, czego nie mam... Wszystko mam: w sobie dumę nasyconą, przed sobą Olimp czy harem, nad sobą nimb z błysków brylantowych, grzmot oklasków, górę złota, nawet pieśni moje, odebrane nieszczęściu... jednak nie mam czegoś, co mi potrzebne — i z tego miejsca, które wszystkim wydaje się rajem, pragnę iść gdzieindziej, z kim innym, inaczej... nie wiem gdzie, nie wiem jak... może z tobą...

Skończyłem. Przy ostatnich tonach, które wypływały z pod mego smyczka wezwaniem coraz smutniejszym, cichszym, więcej beznadziejnym, z jej oczu dużych, dobrych i cierpiących spływać zaczęły łzy powolne i gęste. Ukłonami dziękując za nowe oklaski i kwiaty, myślałem: czy zrozumiała? czy spostrzegła? Kto ona? Muszę dowiedzieć się: kto ona? Ale wnet dokoła mnie zaszumiało, zadzwoniło, zaśpiewało. Były to suknie jedwabne, śmiechy wesołe, głosy melodyjne. Do wjolinów kobiecych przyłączyły się basy męskie. Boże, jaka radość i miłość powszechna! Jak wspaniale stół do wieczery zastawiony i na mnóstwo osób! Znowu mam mnóstwo przyjaciół. Dlaczego przez ostatnie kilkanaście miesięcy nie miałem ich zupełnie? Siedziałem w nudnej dziurze, zwanej stacją klimatyczną, na kuracji i zupełnie przyjaciół nie miałem. Zastanowię się nad tem później, teraz w kole przyjaciół bardzo licznem, święcę powtórne narodziny swoje spożywaniem ryby morskiej, umyślnie na tę okoliczność i zdaleka sprowadzonej. Bardzo smaczna. Potem bażanty, szparagi (wśród zimy), burgund wyborny, lody, szampan; *menu* bez zarzutu, skomponowane przez najbliższego przyjaciela mego, muzyka tak jak i ja, który mię gości, częstuje, poi, a od czasu do czasu, gdy zdaje mu się, że tego nie spostrzę, pożera mię oczyma, wątpię czy z miłości, jestem nawet pewien, że z uczucia zupełnie przeciwnego. Ale wieczrę skomponował z artyzmem daleko wyższym nad ten, który rządzi jego muzykalnymi kompozycjami. Podniebienie zaś posiada swoje prawa, jest to fakt, z którym, jak wogóle z faktami, sprzeczać się niewarto. Nie sprzeczą się też i czynię zadość prawom podniebienia, z tem większem zadowoleniem, że poraz pierwszy od kilkunastu miesięcy znajduję się na takiej uczcie, jest więc ona dla mnie względną nowością. Zmachałem się kilkogodzinnem graniem, organizm mój wyczerpały silne wzruszenia, jem więc jak Lukulus i jak Gargantua w jednej osobie, a piłbym może jak bibuła, gdyby uczta była mniej wykwintną pod względem towarzyskim i estetycznym. Ale jest bardzo wykwintną. Stół przyozdabiają kwiaty, które zapachem upajają powonieniem i kobiety, które czarują oczy wdziękami i strojem. Wszystkie zmysły razem nurzają się w zadowoleniu, bo nawet dla dotykania przyjemną jest atlasowa gładkość bielizny, lekki chłód srebra, ślizga powierzchnia kryształów i miękkie, trochę drżące uściśnienie ślicznej ręki, dziękującej mi za przyrzeczenie wzięcia współudziału w koncercie danym na rzecz dzieci bez matek, czy matek mających dzieci, sam nie wiem co, czy kogo mam muzyką swoją wesprzeć, ale wiem, że moja sąsiadka przy stole żebrze o to wsparcie usty i oczyma jednostajnie płonącemi jak wulkany. Pierwszy raz ją widzę i jej powierzchowność zajmuje mię odrazu. Z pod powłoki niemal eterycznej przebija się w niej wulkaniczność zupełnie ziemską, prawie gruba i gwałtowna. Kibić wątła, ruchy powolne, cera delikatności liljowej, ale wargi wydatne i krwią nabiegłe, nozdrza ruchome i w czarnych jak noc oczach, pod brwią czarną i gęstą formalny płomień. O, gwałt tam jest, gwałt, który porywa, szarpie, dusi, krzyczy, w porcelanowej formie toczy lawę glinianą co prawda, niemniej, na razie, interesującą. Długiem i nieco drżącym uściśnieniem ręki dziękuje mi w imieniu dzieci, czy matek, a potem mówi o muzyce jakieś bardzo wykwintne i bardzo doskonale głupstwo. Ale choć w tem, co mówi o muzyce, niema sensu, moja sprawiła na niej wrażenie silne, jakiego rodzaju? Czysto glinianego, widzę to dobrze i przelatuje mi przez głowę myśl, że jednak w tych salach upalnych i dusznych od gazu, perfum i ścisku ludzkiego, najeteryczniejsza ze sztuk obudza czasem wrażenie i wywiera wpływy natury

nie eterycznej. Może anioły wyaniela ją się przez nią do ostatka, ale także le diable y trouverait son compte. Zastanowię się nad tem później, obecnie z nieudaną rozkoszą patrzę w kratery tego wulkanu i myślę, że kto wie? może zabawię w tem mieście dłużej niż zamierzałem, może drugim jeszcze koncertem lub współudziałem w koncercie uszczęśliwię jakie matki czy dzieci — przyczem, le diable ne perdra rien, to pewno. Staję się coraz weselszym, całe towarzystwo po burgundzie i szampanie staje się coraz weselszem, oczy mojej sąsiadki goreją coraz silniej i coraz gorętsze zarzewia rzucają mi w ser... nie, nie w serce, w krew i nerwy, ale tego dosyć... Nagle, ktoś tam od środka stołu, pochylił się w kierunku miejsca przezemnie zajmowanego i zawołał:

— Czyś słyszał, Juljuszu, że biedny Roman... pamiętasz go?... już nie żyje?

Niemal podskoczyłem na krześle. Jakto? Roman! ten młody, lecz już znakomity, fortepianista? czy go pamiętam? Ależ ja się kochałem poprostu w jego wczesnym talencie, obejściu się piśszczotliwym, jak u szczęśliwego dziecka. Widziałem go po raz ostatni tej nocy, którą tak wesoło przełulaliśmy w hotelowym pokoju z amarantowem obiciem. Potem nic już o nim nie słyszałem i miałem właśnie zapytywać wspólnych znajomych... Nie żyje! Kto nie żyje?

— Roman! ależ tak, tak, Roman! Z choroby serca... coś mu tam w sercu... Doktorze! co się tam stało w sercu tego nieodżałowanego chłopca?

Naczyńko krwionośne, takie maluteńkie, cieniuteńkie naczynko krwionośne przerwało się i w mgnieniu oka — po wszystkim! Jakto? więc go nigdy już nie zobaczę? Jest w tem pytaniu sporo żalu, ale daleko więcej zadziwienia. Był i — zniknął, zupełnie zniknął, bez śladu. Wiedziałem zawsze, że takie zniknięcia wydarzają się na kuli ziemskiej w każdej minucie każdej doby, ale teraz dopiero praktyka tej teorii pogrążyć mnie zaczęła w osłupiałości, z której otrząsnąć się nie mogę. Rozmawiam ciągle z moją sąsiadką, ale inaczej niż przedtem: z roztargnieniem i przymusem, bo myśl moja, jak nitka w koło kłębka owija się w koło wyobrażenia zawartego w słowach: był i — zniknął! Dlaczego? Tym razem, zamiast mikrobu, naczynko krwionośne... Pocóż u diabła, tak źle krew nosiło i było takim cieniutkiem! co to ma jedno do drugiego? Jaki tu związek i jaka proporcja pomiędzy zjawiskami? Naczyńko przerwało się i cała maszyna stanęła, maszyna krwionośna, dobrze to w porządku, ma się rozumieć... ale talent jego z jednej strony, a z drugiej ta tkliwość serdeczna, która dla ludzi była lepem i miodem, co się z niemi stało? Zniknęły także. Więc także znajdowały się w zależności absolutnej od cieniutkiego naczynka? Boże, jakież to śmieszne! Taka dysproporcja pomiędzy panem i podwładnym jest poprostu śmieszna, niepojęta także, a nadewszystko smutna, tak smutna, że cała wesołość tej wieczery pierzcha przed nią, jak rój motyli przed wozem pogrzebowym. Przed kilku minutami było mi tak dobrze, a teraz znowu robi się źle... Po cóż bo ten rumiany i wąsaty syn szlachecki wyjechał z tą nowiną? Mógł być ją odłożyć do chwili stosowniejszej. Teraz rozmawia sobie najswobodniej i z chwacką miną ociera wąsy po winie. Jak można wspominać o takich rzeczach pomiędzy jedną a drugą anekdotą, popitą haustem szampana! Wogóle nie rozumiem, jak ludzie mogą mówić o tych wielkich i ciemnych przepaściach dorywczo, tak sobie przeżywając bażanta i zaglądając w oczy ładnej kobiecie... prawdopodobnie czynią tak dlatego, że nigdy we wnętrzu tej przepaści nie patrzyli. Mnie przy każdym zbliżeniu się ciągnie ona ku sobie i muszę w nią patrzeć; nie wiem zupełnie skąd pochodzi ten mus, ale oprzeć się mu nie mogę. Patrząc, doświadczam trwogi, zdumienia i żalu, ale przeważa żal, za czem? Za wszystkim, co znika. Wszystko powstaje, płynie, przepływa i — znika, unicestwione przez drobiazg, pochłonięte niewiedzieć przez co, przepada niewiedzieć gdzie. Bo niech mi nie mówią o przemienianiu się w gazy i sole; słuchać o tem nawet nie chcę! Zróbcie mi z gazów i soli talent i dobroć, a uwierzę, że one zamienić się mogą w to, z czego są zrobione... Sąsiadka moja patrzy na mnie zrazu ze zdziwieniem, a potem jej kratery zaczynają wyrzucać płomień coraz ognistsze. Zdziwiło ją, ale zarazem i zajęło moje nagle zamilknięcie i zesmutnienie. Później słyszałem nieraz od kobiet, że kiedy pośród rozmowy najbardziej ożywionej nagle milknę i zamysłam się z powiekami spuszczone pod brwią ściągniętą i z rysami znieruchomiałemi, wyglądam tak, jakbym tylko na miejscu pozostawiał swoją formę a sam odchodził w jakiś świat inny. Miały słuszość, odchodziłem w świat zupełnie inny, ale nigdy żadnej z nich nie prowadziłem za sobą, bo przeleklełyby się okrutnie tego świata, te kolibry i wiewióreczki. Dla nich jednak miałem podobno najwięcej uroku wtedy właśnie, kiedy czyniłem

te tajemnicze wyprawy. Było to uczucie podobne do trwożliwego i namiętnego pociągu dziecka ku ciemnemu pokojowi, w którym strach siedzi. I strach i ciekawość zdejmuję, ale ciekawość jest silniejszą; idą na palcach, drżą, odbiegają, wracają, zaglądają przez szczelinę, a serce bije mocno. Nie rozumie się wcale co to takiego: upiór, ale pragnie się go zobaczyć. Nic nie wiedziały o innym świecie, do którego odchodziłem, ale czuły, że jest tam, w tym zamkniętym dla nich pokoju jakiś upiór i serca im mocno biły.

Nazajutrz byłem z wizytą u Walerji, a potem, ja i ona pracowaliśmy wspólnie około urządzania tego koncertu na biedne matki czy dzieci. Całe miasto mówiło wkrótce, że jesteśmy zakochani w sobie do szaleństwa i było to prawdą, lecz trwało niedługo. To porcelanowe naczynie zawierało w sobie trunek gminny. Sposób kochania się z Henryką nazwałem był przed sobą: deklamacją; temu nadałem imię: krzyk. Tam wiecznie wyjeżdżały na stół ideały; tu pocałunki i uściski urozmaicały się tylko przez sceny zazdrości i spazmy. W jednym wypadku hipertrofia mózgu, w drugim zmysłów. Pierwszy sprawiał złudzenie dłuższe, aż do pierwszego eksperymentu trwające; drugi nie łudził wcale i był cały jednym eksperymentem, który wkrótce obrzydnąć musiał dla samej swojej popularności. Bo naprawdę, jeżeli to jest miłością, mogę ją znaleźć, podnieść, rzucić, znowu podnieść, na każdym ciemnym skrawku ulicy i życia, bez całego tego zachodu i aparatu. Bo przedpokój z lokajami, którzy biegną anonsować gościa, salony, ukłony, wysoka estetyka i delikatność otoczenia, ubrania, rozmów, wstępów i zakończeń, to zachód i aparat. W gruncie rzeczy wiem odrazu o co chodzi, a jeżeli ona robi sobie jakiekolwiek złudzenia pod tym względem, to tylko dzięki krepie, którą przed własnymi jej oczyma narzuca na nią para frazesów, wstawionych w jej mózg i w moją mowę. Moja istota wewnętrzna: wszystko, co istnieje we mnie po za uczuciem dla niej, wcale jej nie interesuje; ja ze swej strony wiem, że w niej niema żadnej wewnętrznej istoty. Dlatego, ilekroć pozostajemy z sobą dłużej nad czas potrzebny do wybuchnięcia i ostygnięcia — poziewamy, a choć czynimy to oboje, ona składa winę tylko na moją obojętność i robi scenę, wśród której wygląda prześlicznie i która dlatego właśnie i tylko sprowadza z mojej strony nowy — wybuch. Z takimi naturami *tout chemin mène à Rome*, nawet muzyka. Henryce gra moja zapalała mózg, tej zapala krew; tamta pod jej wpływem najpiękniej deklamowała, ta najgoręcej — całuje. Z dwu tych zjawisk wolę drugie, bo przedstawia prawdę gminną, pierwotną, ale zawsze prawdę; tamto zaś udaje iskrę bożą, będąc tylko fajerwerkiem zapalonym przez cnotliwe guwernantki i budujące książki, a gasnącym przed pierwszą groźbą zastąpienia sukni jedwabnej perkalową. Tylko, że cały zachód około eksperymentowania tego pierwotnego wyrazu miłości uważam za niepotrzebny i nie odejmuje mi ono ani na chwilę uczucia, że potrzebuję czego innego, nie mówię sobie jasno: czego mianowicie? lecz czegoś innego. Przytem doświadczam wielkiej subiekcji z powodu podziękowań i pochwał, które spływają na mnie za to granie na rzecz ubogich dzieci bez matek, czy czegoś podobnego. Kędy się obróć, słyszę wysławianie mojej wspaniałomyślności, gazety nazywają mnie wprost dobroczyńcą cierpiących braci. W towarzystwie jest mi z tem jeszcze pół biedy, bo rozmawianie przeszkadza zastanowieniu i miłość własna wyciąga się rozkosznie, jak kot pod głaszczącą ręką; ale kiedy zostaję sam na sam z sobą i o tem myślę, płonę od wstydu. Niech mię djabli porwą, jeżeli, grając, miałem na celu spełnienie dobrego uczynku! Nie wiedziałem nawet dobrze dla kogo grałem. Przyrzekłem grać, bo prosiła mię o to kobieta z oczyma wulkanicznymi, a gdy przyrzekłem, to już grałem — i koniec. Pozwalam jednak i to z rozkoszą, wprawdzie chwilową, nazywać siebie dobroczyńcą ludzkości. Kłamstwo! Kłamstwo! Kłamstwo! Jak śmiem wydawać sądy na innych, gdy sam... Kim ja jestem sam?

IV

Jakto: kim jestem? Artystą; cały świat wie o tem. Dobrze, ale cóż dalej? Jakto: co dalej? Artystą wielkim. Naturalnie; ale co dalej? No, sławnym także, bardzo sławnym. I to wiadomo, ale: co dalej? co dalej? Nie zamierzałem wcale zadawać sobie tych pytań, ale odzywały się one zupełnie tak, jak gdyby je wyszeptywał ktoś siedzący w moim mózgu, jakaś istota odrębna od człowieka powszedniego, snującego myśli powszednie. Te płynęły swoją drogą, a tamte swoją. Takie podwójne myślenie męczyło bardzo, ale zmuszało człowieka powszedniego do ustępowania, a raczej do schodzenia na plan drugi przed tamtym,

który nie przestawał się dopytywać: co dalej? cóż dalej? Jesteś artystą wielkim, sławnym, bardzo sławnym, a dalej kim? jakim? Aha, sława! Jest ona cechą moją główną, zdobyczą najdroższą, tem, czemu podporządkowuje się wszystko inne, cokolwiek jest mojem i we mnie. Trzeba mi patrzeć w głąb tej mojej cechy i zdobyć najważniejszej i rozbierać ją po niteczce, aby dobrać się do jej wyrazu pierwiastkowego i przez obejrzenie go ze stron wszystkich uciszyć bodaj na czas jakiś gadatliwość gościa, który rozsiadł mi się w mózgu tak, że niekiedy rozsada prawie czaszkę. Pójdź tedy, mój brylancie, pod mikroskop, który pokaże naprzód, jaką figurę przedstawiam ja, na samem dnie twoich tęczyowych blasków, a potem, czem ty jesteś sam, gdy cię z pod pras drukarskich i z pod światel gazowych usunę.

Radość z triumfu sztuki ukochanej, wynoszenie na tron rękoma własnymi tej pani i kochanki, tkliwe uczucie związku, łączącego duszę moją z duszami ludzi innych... tak, tak, wszystko to było, niezawodnie było, ale czy tylko to? i w jakiej mierze to, a w jakiej co innego? Cóż na przykład? A no, czy mozoliłbym się tak srodze nad wygrywaniem utworów cudzych i komponowaniem swoich, gdybym wiedział, że żadne ucho ludzkie nie usłyszy jak wykonywam pierwsze i jak brzmią drugie? Uczciwie tylko, kochanku, uczciwie i głęboko patrzaj w siebie, nie jednym okiem i od niechcenia, ale tak, do samego dna, obydwoma oczyma... Cóż, czy pracowałbyś z równą gorliwością nad doskonaleniem się w sztuce, gdybyś wiedział, że popisywać się nią będzie przed światem, zamiast ciebie, najlepszy z twoich przyjaciół? A utwory twoje czy obudzałyby w tobie taką macierzyńską pieczołowitość, zapal tak gorączkowy, gdybyś je miał na morzu bezludnem wygrywać — rekinom?

Nie trzeba znowu obgadywać się i czernić. Prawdy tylko szukasz, szukaj jej dobrze i z każdej strony, aż do końca. U dobrego końca znajduję tę prawdę zupełnie szczerą, że swoich drogich sam na sam ze skrzypcami nie oddałbym za wszystkie wrzawy i purpury, tyle sprawiały mi rozkoszy, choć przyświecały im tylko lampy blade lub gwiazdy milczące. „Tyle sprawiały mi rozkoszy” gość mój podkreśla mi w mózgu te cztery wyrazy i każe iść znowu na drugi koniec prawdy. Grałbym zapewne dla swojej rozkoszy nawet w pustce i głuszy, — może też potrzeba tworzenia wypierałaby ze mnie pieśni i wtedy także, gdyby ich słuchać miała tylko pustka i głusza. Ale co żadnej wątpliwości nie ulega, to, że nad udoskonaleniem się i wzbogacaniem w tym kierunku nie zadawałbym sobie na rzecz pustki i głuszy aż tyle fatygi. To potrzebuje porządnego wysuszenia mózgu, aby zostać zrozumianem i odgadniętem, tamto wymaga utrudzenia ręki aż do kurczu nerwów i bólu mięśni, owo jest zawiśnięciem, nużeniem, nawet nudnem; przeskoczmy więc trudność, oszczędźmy sobie znużenia, znużenia, ruszajmy dalej ku błoniom gładszym, gdzie zrywać będziemy róże bez cierni. Wszystko jedno: pustka i głusza nie skrytykują, nie wygwizdzą, nie umniejszą nawet okłasków, bo nie dają żadnych... Niezawodnie, pragnąłbym oglądać dzieło swoje doskonałem nawet na pustyni, ale po obejrzeniu powtórnem, trzeciem, dziesiątem ręce opadłyby w zniechęceniu, wola omdlałaby bez podniety i potem grałbym już tylko tak... sobie! Oto i cała prawda, z której wynika, że, gdym zawzięcie pracowałem dla sztuki, bodźcem mi były myśli: „oto będą chwalić! oto będą klaskać! To ich z krzesła chyba pozrywa! Tamto przerobi ich na łez fontanny! Za to, za tamto, za owo dzienniki zagrają mi cztery hymny na czterdziestu trąbach!” Aha! Cóż tu ja więcej kochałem? Sztukę, czy siebie? Nad czem pracowałem: nad sztuką samą, czy nad narzędziem swojego zadowolenia? Kogo wynosiłem na tron rękoma własnymi? boską panią i kochankę? No tak, po części i ją także, tylko, że koniecznie chciałem z nią razem na tronie zasiadać i nawet, kto wie, czy nie więcej miejsca od niej zajmować, bo gdyby na przykład ktokolwiek powiedział, że muzyka jest sztuką brzydką, a ktoś drugi, że ja jestem muzykiem złym, pierwszego poczytałbym tylko za głupca, do drugiego czułbym urazę dogrobową. Ot, co jest. Tedy: Geldhab. Co? ja Geldhab. Tak, tak. Forma i źródło zupełnie odmienne, ale istota mniej więcej ta sama. Naturalnie, po jednej stronie pękaty bankier z zakrzywionym nosem i pieniądze, po drugiej wysmukły artysta z profilem greckim i — sztuka. Nikomu porównanie przez głowę nawet nie przejdzie. Jednak podobieństwo jest, nawet wielkie. Na bliźnięta nie wyglądamy, ale na bliskich krewnych. Oprócz wzrostów i nosów, które niczego nie dowodzą, różnicę dwu pych stwarza ich pochodzenie. Jedna: materja czysta i gruba; druga, cząstki ideału płonące iskrą bożą. Ta różnica sprawia, że pierwsza pycha leży na wierzchu; a druga tai się na spodzie, że z pierwszej ludzie kładą się od śmiechu,

a przed drugą padają na klęczki. Nie chcę tego porównania, wstrętem przejmuję mię ono, ale czynić je muszę, bo co prawda, to prawda. „Hej, moja liberja!” „Hej moja publiczność!” „Niech świat widzi, że mam służbę w liberji!” „Niech świat wie, że mam sałę po brzegi napelnioną”. „Kochany malarzu, wyrysuj mi drzewo genealogiczne!” „Drogi dziennikarzu, napisz tam o mnie artykuł!” Nie prosiłem nigdy dziennikarzy o artykuły, ale chciałem, aby je pisali i w pewnej części dlatego grałem. Różnica formy. Forma Geldhaba brzydka, forma moja piękna, ale co na spodzie jednej i drugiej? Na spodzie obydwóch kot wypasiony wyciąga się na poduszce z grzbietem drgającym od rozkoszy, którą sprawia mu głaszcząca go ręka. Sztuka, to poduszka, a grzbiet koci — próżność moja rozkosznie łaskotana przez sławę. Gdyby tak wetknąć do poduszki trochę szpilek z ostrzami do góry... tobym zmykał! Bywają zapoznani, niepojęci, albo i niezdolni, którzy spędzają życie na poduszkach szpilkami zjeżonych, pracują dla sztuki czy nad sztuką w samotności, opuszczeniu, udręczeniach rozmaitych. Skłaniałbym przed nimi głowę, gdyby wieści nie upewniały, że bardziej zgorzkniałych, skwaśniałych, nieznośnych istot nad takich zapoznanych niema na ziemi. Widać nie wystarczają im same wdzięki boskiej kochanki i, jeżeli się z nią nie rozstają, to może z powodu tej najprzedziwniej wytrwałej zwodnicy, którą jest nadzieja. Grzbiet, nie głaskany przez sławę, garbi się i najeża, lecz poduszki ze szpilkami nie opuszcza, bo, nuż, nuż nadejdzie błogi moment, jeżeli nie dla niego, za życia, to choć po śmierci dla imienia i pamięci jego! Zresztą, może tam niekiedy w sytuacjach podobnych jest jaka bohaterska bezinteresowność. Sądzić o tem nie mogę, bo... bo... do sytości i aż do przesytu sztuka zadawała wszystkie moje interesy.

Ale przecież przynajmniej były to interesy — duchowe, z rzędu tedy wyższych, eterycznych, idealnych. Naturalnie! A jakże! Bo można sobie co chcąc wygadywać na sławę, nie przeszkodzi to temu, że jest ona wcale czemś innem, niż zrazy zawijane. To, bądź co bądź, figura wysmuklejsza i bardziej napowietrzna niż pękate i ciężkie sakwy geldhabowe! to nie gruba materja... Materja!... Zaraz, zaraz, wyraz ten zatrzymuje mię jak haczyk, który zaczepił o suknię. Chciałbym przeskoczyć go i z triumfem pomknąć dalej, ale muszę zatrzymać się i przypomnieć sobie... jak to tam było z tą materją i jakim był naprawdę stosunek mój do niej? Może wrogi? Może przynajmniej obojętny? Może byłem anachoretą, gryzącym na obiad surową marchewkę i popijającym ją wodą źródlaną? Cha, cha, cha, cha! Jeszcze jedna bańka mydlana zaraz pęknie. Okropnie wiele mię kosztuje, że muszę przekłuć ją na wylot, ale muszę. Nie kocham pieniędzy samych w sobie, ale kocham się w mnóstwie rzeczy, których one dostarczają. Rozrzucam je pełnemi garściami na przyjemności swoje i cudze, ale właśnie ta możność rozrzucania i te przyjemności czynią mię zadowolonym, ale zadowolonym czy tylko na duchu? Ej, nie, i na ciele także, nawet bardzo. Wcale nie jestem amatorem surowych marchewek i, nie będąc pijakiem, bardzo lubię dobre likiery. Zrazy zawijane są dla mnie potrawą zbyt prostą i ciężką, ale przepadam za ostrygami, zwierzyną i sosami, do których wchodzi madera i trufle. Gdy sam siedzę u stołu, mam zły apetyt; lubię jadać w towarzystwie licznem i wesołem. Wtedy i podniebienie staje się wrażliwszem i humor lepszym, i widok ludzi nasycających się moim kosztem raduje coś tam we mnie, nie wiem co: serce czy próżność, najpewniej oboje razem. To kosztuje wiele. Trzeba na to mieć wiele tej materji, której na imię pieniądz. Jednak jedzenie rzecz pomniejsza, choć w takich warunkach bardzo kosztowna; są inne subtelniejsze... no, no, dajmy pokój subtelności! Po co to przed samym sobą w bawełnę owijać? Materjalne także i dobrze materjalne, choć tak chyże, jak stopki baletnic, albo tak lotne, jak perfumy cenione na wagę złota. Zmysł smaku, czy dotykania i powonienia, to wszystko jedno, tylko że jedzenie nazywa się zawsze jedzeniem, a inne rzeczy przeżywano imionami świętych lub niewiniątek, jak np. miłości lub kwiatów. I mnóstwo zresztą innych narzędzi używania, których wyliczenie zmęczyłoby pamięć, tak ich było wiele, dawał mi pieniądz sypany przez sławę. Była to strona jej nie najpoważniejsza dla mnie, jednak bardzo powabna. Z powiększaniem się mojej ceny rynkowej, powiększała mi się przed oczyma miara mego wzrostu i suma moich przyjemności, co sprawiało dwie uciechy trochę różnej natury lecz prawie jednostajnej mocy. Rozumiem, rozumiem, że gdybym był niewiedziec jakim idealistą, musiałbym za swoją zdolność, umiejętność, pracę, otrzymywać zapłatę od tych, którzy z niej korzystają, bo inaczej umarłbym z głodu i nie byłoby na świecie ani mojej pracy, ani wynikających z niej korzyści. Pracować na kawałek chleba, rzecz prawa i prosta jak dzień dobry. Ale kawałek chleba, choćby nawet

z serem i ze szklaneczką porteru, to co innego, niż sos z trufkami i szparagi w styczniu. W tem sęk... I tu pęka mydlana bańka subtelności, eteryczności, duchowości interesów, które zadawała mi sztuka i sława. Jestem sławnym, więc mogę używać; mogę używać, bo jestem wielkim. Co jest we mnie uszczęśliwionem przez te dwie pewności: rozum? serce? to, co się nazywa duchem? Wcale nie. Naprzód pycha, potem materja, wysuwająca słodki smak życia — z materji. Geldhab i kot, chlepcący na miękkiej poduszce słodkie mleczko. Pyszałek i zwierzątko. Taką jest figura, którą w całej prawdzie i szczerości przedstawiam na samem dnie tęczowych blasków sławy. Smutno, smutno i — straszno! Sam nie wiem czego się lękam, ale trwoga drży mi po skórze i wnika do wnętrza, budząc tam szept wyrażnie rozmawiające: „czy to już wszystko? czy to już cała twoja istota i jej szczyt ostateczny? Nic więcej nie posiadasz? Nikim innym nie byłeś?” „Nie. Nikim. Może... ale nie... prawie nie, prawie nikim!” „Cóż tedy znaczysz w szeregu wszechrzeczy? Jaki twój wzrost rzetelny? Jaka rola w niezmiernym, przeraźliwym dramacie wszechżycia?” Tak mię ta szeptana rozmowa trwoży, jak gdybym siedział na ławie obwinionych. Wiem dobrze, że nikt mię nie sądzi i żaden wyrok mi nie grozi, jednak lękam się sądu i wyroku, nie wiem czyjego, nie wiem jakiego, lecz który mię na proch zgniecie, mnie sławnego, mnie, ulubieńca wielkiego świata, na proch zgniecie. Przed czem, w imię czego, mam być na proch zgniecionym? Nie wiem, może nie pamiętam, może pojęcie czy poczucie jakiejś wielkości czystej, bezwzględnej, oswobodzonej od wszystkiego co jest kociem i geldhabowem, istnieje we mnie głucho, ciemno, pod świadomością, która je przygniata i z pod której odzywa się ono tylko językiem wstydu, trwogi, smutku. Olbrzym dla świata, wziąłem samego siebie jak liliputa na jeden palec i, przypatrując się temu maleństwu, czuję wstyd, trwogę i smutek. Ostatni wzrasta coraz, przemaga tamte, opanowuje mię tak, że jestem pełen łez, przez które jednak zaczyna przedzierać się promyk... Z twarzą w dłoniach i pochyloną głową zaczynam mówić, nie wiem do kogo, może do tej wielkości czystej i bezwzględnej, której pojęcie i upragnienie, leżąc pod świadomością moją, czuwa samo i budzi ze snów, za jawę poczytywanych: „Byłem tłumaczem jednego z wyrazów twoich, którym jest piękno! Usiłowałem wzbic się ku najwyższemu jego szczytom i przebić zasłonę, ukrywającą je przed resztą ludzi. W pocie czoła wynajdowałem śród rozterki tonów te, które niosły nad światem harmonję. Na ich skrzydłach rwałem się w górę i podnosiłem innych trochę, choć trochę... Po moich strunach biegła i z nich na świat wylatywał promień ideału, w nim dostrzegałem i ukazywałem innym to, co prawdziwie wielkie! Oto wszystko! Nie oklaski, nie kwiaty, nie wesołe kompanje i nie szparagi w styczniu, tylko to, to jedno...

Jak nurek z morza, wynosiłem z przepaścistych rozmyślań tę jedną perlę i nią przez czas pewien, jak tarczą, zasłaniałem się przed czemś do określenia jasnego bardzo trudnem. Było to jakieś zrozpaczenie o wszystkim, najbardziej o sobie, objawiające się czasem drwiną, mającą pozór wesołości, czasem żalem milczącym, bez słów i bez łez, nakształt kamienia głęboko we mnie osiadłym. Zdarzać się zaczęło coraz częściej, że pochwały zamiast uciechy budziły we mnie taką ckliwość, jaką u człowieka zamyszonego budzą prawione mu nad uchem głupstwa. Uczucie to miewałem wtedy zwłaszcza, gdy pochwały tyczyły się nie artysty, ale człowieka. Charakter wzniosły! Serce złote! Dajcież pokój! Czy dlatego, że nikogo nie okradłem i niczyjego podpisu nie sfalszowałem? Może dlatego, że chętnie funduję uczyty, na których jecie smaczno i bawicie się wesoło? albo, że na prawo i lewo rozrzucam w formie darów i pożyczek pieniądze, których mam zawsze pełno? albo jeszcze, że na prośby różnych delegacji i różnych instytucji filantropijnych grywam ku pożytkowi biednych, których nie znam, o których sam przez się ani bym pomyślał, któremi, po zagranium i otrzymaniu wzamian należnej dozy owacji, zajmuję się tyle, co przeszlorocznem latem? Głupstwo, głupstwo i kłamstwo! Kłamstwo takie samo, jak w bezinteresowności moich zapalów dla sztuki i w duchowości moich interesów, jak w miłości kobiet i w miłości świata dla mnie i mojej dla świata.

Jedno tylko źdźbło prawdy, jedna gwiazda czysta: to, co ze skrzypiec swoich wydobywam, wtedy, gdy zapominam o triumfach i zdobyczach i z jedynym pragnieniem przetłomaczenia na język ziemski wyrazu piękności nieziemskiej i nieśmiertelnej. Lecz chwile takie zdarzają się nieczęsto.

V

Bywały wzamian inne, nadzwyczaj świetne. Jedną z nich pamiętam najdokładniej, bo przyniosła mi chlubę prawdziwą, wielką chlubę przed światem i przed uznaniem własnym, szczególnie przed uznaniem własnym, o, tak!

Zaczęło się to od niespodziewanego spotkania z Henryką. Nic o sobie nie wiedząc, jednocześnie przybyliśmy do wielkiego miasta, które było świadkiem naszej miłości wspólnie i rozstania się mizernego. Byłaż to z jej strony ciekawość nieprzewyciężona, czy chęć śmiałego stawienia czoła położeniu trudnemu, ale przyjechała na mój koncert i najprościej w świecie przeszła przez salę wsparta na ramieniu męża z kilku kwiatkami w rękę i swobodnym uśmiechem na twarzy, piękniejszej jeszcze niż przed trzema laty... Trzy lata upłynęło od owej historii, ale tak długo nie czekała, aby poślubić człowieka bogatego, który był zresztą przedtem moim nieszczęśliwym rywalem, a stał się szczęśliwym wtedy, gdym ja, w nudnej dziurze kuracyjnej, jak zegarowe wahadło kołysał się mordująco i rozpacznie pomiędzy: przejdzie, nie przejdzie! Wtedy właśnie to uczyniła. Wyszła za mąż. Dobrze. Nie sprawiło mi to bólu, bo już jej nie chciałem, lecz ilekroć potem grałem w miejscu, gdzie ona znajdować się mogła, wzrokiem szukałem jej po sali i opanowywała mię chęć zemsty. Ogromnie podobała mi się myśl, że, widząc mię tak zupełnie (choć na pozór tylko) wskrzeszonym, cienkimi paluszkami podarłaby z żalu i gniewu chusteczkę, a potem, bez świadków, ten lachmanek batystowy zmoczyłaby łzami. Nie czułem żalu po niej, ani tęskniłem za nią; była to wprost zacięta uraza za zniszczenie we mnie czegoś, co mię uszczęśliwiało. Gdyby mi była wówczas pozostała wierna, gdyby jej miłość okazała się taką, za jaką ją miałem, nie byłbym może utracił młodzieńczej świeżości uczuć i myśli, nie stałbym się pastwą wewnętrznej rozterki. Ona powinna była usunąć tę chmurę, która wstąpiła we mnie z nad dostrzeżonej mogiły, ona jedna mogła uratować mię od zwątpienia powszechnego wiarą w istnienie miłości szczerzej i wiernej. Nie uczyniła tego. Rozbiła mi najpiękniejszą z baniek mydlanych i popchnęła do rozbijania innych.

Grałem już, gdy wchodziła i, z pozoru nie patrząc na nią, widziałem barwę jej sukni, migotanie jej brylantów w obfitem świetle gazowem; lekkie ruchy głowy, któremi witała znajomych i pełne wdzięku opuszczenie się postaci na siedzenie blisko i naprzeciw mnie umieszczone. Wtedy doświadczyłem czegoś niespodziewanego: było to wzruszenie, pochodzące nietylko z urazy i chęci pomszczenia się, ale także z uczucia pociągu do niej, w którym poznałem echo przeszłości, widokiem jej wywołane, resztkę, albo raczej cząstkę przeminionego momentu życia. Spotęgowało to zrazu w grze mojej pierwiastek rzewności, który był zawsze jednym z głównych jej czarów, a potem, wlało w nią jeszcze coś innego. Czułem sam, że gra moja staje się coraz więcej rozpaloną wspomnieniem uciech miłosnych przeminionych, lecz nanowo upragnionych i wzywanych. Coraz więcej stawałem się tłumaczem tego, co istnieje w ludziach najniezawodniej i najpowszechniej, a przez inne pierwiastki życia i świata spychane na głębie, podnosi się przy lada dotknięciu, jak siła żywiołowa na uwięzi trzymana, lecz niezniszczalna. Na wszelkich drogach przez wywoływanie tej siły wstrząsać można ludźmi najniezawodniej i najpowszechniej, ale zazwyczaj środek ten nie był moim. Teraz także użyłem go nieumyślnie i dlatego tylko, że siła żywiołowa, we mnie samym zbudzona, przez palce moje grała na strunach. Było to natchnienie, którym zawładnąć nie usiłowałem, które, owszem, dogadzało stanowi memu, więc swobodnie puściłem wodze tonom, które ze strun wydobywał palcami memi ktoś, kto nie był mną, a przynajmniej całym mną, ale w tej chwili wyprawiał we mnie prawdziwe orgje pieszczoł, pocałunków, wszystkich najpospolitszych i najwymyślniejszych uciech... tego, co się nazywa miłością. Po raz pierwszy w życiu improwizowałem na estradzie. Przejściem, którego trudności przeskoczyłem z wprawą niesłychanie wygimnastykowanej techniki, z kompozycji, którą wykonywałem, zsunąłem się na nieznanie mnie samemu morze improwizacji. Eksperyment, przy którym można było kark skręcić, czyli zrobić ogromne fiasco, udał mi się wybornie. Do krańców ostatecznych, rozpałem w słuchaczach swoich siłę żywiołową, która we mnie samym w miarę grania wzrastała prawie do szału, aż nakoniec wyczerpany, od stóp do głowy gorejący, z czołem mokrem, wargami drżącymi jak liście, opuściłem smyczek i w ogłuszającej wrzawie oklasków, krzyków, stuku sprzętów i stóp o ziemię uderzających, stałem nieruchomy, bezsilny, do ostatka zmordowany tym przelotem przez moje wnętrze niespodziewanej

burzy. Jak strzały przeszły mi mózg pytania: „Co ona? Cóż ona?” Podniosłem głowę i wzrok swój zatrzymałem na jej twarzy tak długo i śmiało, jak gdyby nigdy pomiędzy nami nie zaszło nic z tego, przed czego wspomnieniem ludzie zazwyczaj spuszczały oczy. Ale i ona nie spuściła swoich. Piękna obojętność, z którą tu przyszła, w grze mojej zniknęła bez śladu, ciemne jej źrenice patrzyły na mnie jak przepaście bólu i żalu. Rozległ się wtedy we mnie triumf najsilniejszy, jakiego doświadczałem kiedykolwiek, podszyty złą, jadowitą i chciwą radością. Była ona chciwą, bo jeszcze niezupełną. Zapragnąłem triumfu nad tą kobietą ostatecznego, lecz teraz jeszcze trudno mi zdać sprawę, która z dwu pobudek tego pragnienia była silniejszą: uraza, zemsty szukająca, czy nanowo rozbudzony pociąg. Zdaje się, że stosownie do różnych momentów gry, którą rozpocząłem, przeważało jedno lub drugie i że wobec skrupułów, które czasem przezemnie przelatowały, jedno drugie osłaniało i broniło. Skrupuły przelatowały przezemnie w postaci głuchych sarkau i niesmaków, lecz głużyła je wnet zawziętość, z którą grę prowadziłem i którą potęgowały spotkane przeszkody. Zdobycie tej kobiety okazało się wcale, wcale niełatwym. Broniło ją wiele rzeczy: położenie towarzyskie, otoczenie rodzinne, lecz nadewszystko jej własna wola oparcia się temu, co przywykła poczytywać za złe i zawstydzające. Wtedy ujrzałem ze zdziwieniem, że ta kobieta, która okazała się tak słabą, gdy szło o szczęście człowieka ukochanego, była bardzo silną wobec niebezpieczeństwa, grożącego jej cnotcie i dobrej sławie. „Co stanie się z tobą, gdy cię opuszczę, czy zmarniejesz powoli, lub od razu leć sobie o jaką ścianę roztrzaskasz; tem pewniej, że i bez tego jesteś już nieszczęśliwym, nie dbam o to i właśnie dlatego cię opuszczam, że nie mam ochoty do spółki z tobą znosić nieszczęścia. Ale gdy idzie o moją cnotę i sławę, to jest, o mnie samą, za pozwoleniem! bronić ich będę, choćbym nawet miała cierpieć wiele, bo to, przed czym się bronię, przyniosłoby mi w wyniku ostatecznym cierpienie jeszcze większe”.

Nie było w tem rozumowaniu, czy może w tych instynktowych pobudkach ani żdźbła wspaniałomyślności. Egoizm w pierwszym wypadku i egoizm w drugim, z zupełnym usunięciem z rachuby w wypadkach obu człowieka, którego... kochała... cha, cha, cha, kochała! Jednak, mniejsza o nazwę! Było w niej zarówno jak we mnie coś takiego, co nie pozwalało zapomnieć o przeszłości i rozniecało chęć jej odnowienia. Przybliżaliśmy się i oddalali od siebie, jak dwa ciała chemiczne w retorcie naturalisty. Bywała obojętną, dumną, nieprzystępną i naprzemian rozrzewnioną, zalotną, kuszącą. Jam też jak kameleon, zmieniał kolory, próbując, którym najpewniej można zahypnotyzować jej rozum i wolę. Stygłem jak lodowiec, płałem jak wulkan, używałem lekceważenia, pochlebstwa, wszystkich środków, które mogły w niej rozpuścić siłę żywiołową, najbardziej zaś muzyki. Śmiało i z dumą powiedzieć mogę, że przez cały czas trwania tej gry zaciętej, którą prowadziliśmy ze sobą, więc przez długie trzy albo cztery miesiące, posługiwałem się muzyką dla osiągnięcia mego celu. Oręż to był z dwu stron wyostrzony. Gra moja pociągała ku mnie jej wyobraźnię i nerwy; holdy, które mi składano, wprawiały w rozpacz jej próżność. Rozpaczała nad tem, że dobrowolnie utraciła tego, któremu świat składa holdy; aż do rozpaczki walczyła z temi napowietrznymi niemi, które, wypływając z pod mego smyczka, ciągnęły ją ku mnie jak opierającą się, lecz spętaną niewolnicę. Miałem przyjemność widzieć najpiękniejsze jej postanowienia pozostania zimną i wyniosłą, topniejące w upale mojej muzyki, jak krople wosku w ogniu; miałem wielką przyjemność spostrzegać, jak w czasie mego grania delikatne jej ręce mięły, gięły, czasem łamały wachlarze i resztki ich podnosiły ku twarzy, aby ukryć rumieńce gorączkowe lub niepodobne do powstrzymania łzy. Raz, przy świetnej wieczery, gdy rozmawiał z sąsiadką piękną i zalotną, na nią z pozoru nie zwracając uwagi, miała w oczach taki wyraz udręczenia, żem uczuł litość i skrupułów, zagłuszony wnet tem, że po wieczery oparła się na ramieniu swego męża i, przechadzając się po salonie, rozmawiała z nim bardzo przyjaźnie i poufale. Czy przed gwałtem uczuć rozbudzonym przez zazdrość, chciała naprawdę osłonić się tarczą małżeńską przyjaźni i wierności, albo tylko oddać mi wet za wet? Mniejsza o to; silniej niż zwykle, zechciało mi się, aby cierpiała i rozpocząłem z tą, która budziła jej zazdrość, formalną kampanję kokieterji. Wtedy, zaczęła patrzeć na mnie z wyniosłością i pogardą. Czy tak? Zobaczmy! Wziąłem do rąk skrzypce. W salonie stała się taka cisza, jakby przeleciał nad nim duch boży. Bo też i przeleciał, w postaci czci prawie nieświadomej i z początkiem nieznanym dla jednego z wyrazów ideału. Zagrałem swawolne marzenie

miłosne, dla obezsilnienia niem i oddania pod władzę moją kobiety, której nie kochałem. Dopiąłem swego. Gdy po skończonym wieczorze sprowadzałem ją ze schodów, na jej usta spalone i drżące po raz pierwszy w tej nowej fazie naszych stosunków wybiegło moje imię. „Juljuszu! Juljuszu!” Ach, więc znowu przestałem być panem! Oczyma więcej jeszcze niż usty, błagała o przebaczenie za to, że tak marnie zniszczyła szczęście swoje i moje. Szczęście! to nic jeszcze! Wiara, Henryko...

Sam nie wiedziałem zresztą, czy uraza grała jeszcze jakąkolwiek rolę w pościgu moim za tą kobietą, czy może całkowicie ustąpiła przed chęcią jej posiadania. Opanowała mię namiętność, której świadomie puściłem cugle, powtarzam świadomie; mogłem być te cugle w garść schwycić i oddać do trzymania przechodzącym niekiedy przezemnie skrupułom. Nie uczyniłem tego, nie przez niemoc, ale przez chęć triumfu i użycia. Może są tacy, którzy ulegają niemocy, ja zrazu mógłbym, potem już nie. Potem, im dłużej trwała gra zacięta, im zawzięciej motyl nocny krążył dookoła ognia, tem więcej milkły skrupuły i litość nad ofiarą, aż umilkły całkowicie i wpadłem w ogień... Wtedy, po chwilowem olśnieniu przejrzałem, czy po chwilowem upojeniu ocknąłem się i doświadczyłem tego, czego mógłby doświadczać motyl, gdyby, posiadając samowiedzę, ujrzał swoje świetne, lotne skrzydła w prochu, a siebie w postaci robaka...

VI

Co to było? Co zdobyłem? O jaką stawkę grałem tak zapamiętale? Miłość? Szczęście? Gdzież tam! Przeliczyć niepodobna, ile razy padamy ofiarą oszustwa, dokonywanego na nas przez słowa. Kiedyś, przez kogoś, kto miał dar tłumaczenia na język ludzki rzeczy wielkich i wiecznych, jedna z takich otrzymała nazwę i było to imię cząstki bóstwa, wcielającej się w ludzkie myśli, uczucia i czyny. Potem rzecz wielka i wieczna rozbiła się na drobiazgi, na okruchy, zmieszała się z pyłem i gliną, przerodziła się po wielokroć w coś od niej odmiennego, zachowując przecie przy tych wszystkich ułamkowościach i przekształceniach imię przysługujące tylko całości, w jej kształtach doskonałych. W ten sposób rzeczy małe noszą imiona wielkie, albo nawet zupełnie odmiennie od tych, które się im należą. Mowa nasza zawiera w sobie całe rody samozwańców; a my poddajemy się tym szubrawcom, mniemając, że są królami. Gdybyśmy wiedzieli, że są to szubrawcy, możebyśmy nie tak rychło zaciągali się do ich armji, albo, przynajmniej nie podlegalibyśmy złudzeniu, że stąpamy po wawrzynach, kiedy w rzeczywistości chlupią nam pod nogami kałuże...

Dopisek późniejszy.

Czy powieść tę skończyć? Któż wie? Nie ja! O, Boże, Boże, Boże, zlituj się nademną!...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-wielki>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Ostatnie nowele*, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0661-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).